



GAZETA BIAŁOSTOCKA

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK IV Nr. 18 (108)

NIEDZIELA, 25 CZERWCA 1944 R.

CENA 10 LIRÓW

W dniu św. Władysława



W dniu 27 bm. przypada święto patrona Prezydenta Rzeczypospolitej Władysława Raczkiewicza oraz Dowódcy Drugiego Polskiego Korpusu generała dywizji Władysława Andersa. Myśli i serca wszystkich Polaków w kraju i na obczyźnie zwracają się w tym dniu ku obu Solenizantom. Pierwszy z nich jest uosobieniem majestatu Rzeczypospolitej, jej całości i suwerenności oraz w myśl Konstytucji skupia jej władzę zwierzchnią i odpowiedzialność przed Bogiem i historią za jej losy. Drugi — jednym z najwyższych przedstawicieli jej Sił Zbrojnych, a dla nas, żołnierzy 2. Korpusu, dowódcą, pod którego rozkazami korpus świężąc okrył się chwałą pod Monte Cassino.

Tegoroczne imieniny wypadły w chwili szczególnie trudnej, w skutki o dziejowym znaczeniu brzemienną, obarczającą tak osobę Prezydenta, jak i Polskie Siły Zbrojne olbrzymią odpowiedzialnością. Wiemy, że dzisiejsi Solenizanci nie ugną się przed nią. Znamy ich nie od dzisiaj. Życzymy im, by nas powiedli choćby najtrudniejszą, ale prostą i zwycięską drogą, drogą trudu i chwały, do wolnej, całej, prawdziwie niepodległej Polski.

JERZY TRZCIŃSKI

LINIA MIKOŁAJCZYKA

Przed pięciu laty Niemcy wysunęli pod adresem Polski dwa „skromne” żądania: oddania Gdańska i uzyskania naszej zgody na budowę autostrady przez polskie Pomorze. Chodziło o jeden port, nad którym władza polska na skutek intryg międzynarodowych stale malała, o jedną szosę, która biegnąc przez terytorium polskie ostatecznie znajdowałaby się pod naszą kontrolą. W zamian za te ustępstwa mielibyśmy uzyskać należną „rekompensatę”. Hier był „wielkodusznym”. W wypadku przysłapienia Polski do wojny przeciw Rosji ofiarowywał nam „odszkodowania” na zachodzie, zapewne Mińsk, a może i Ki-

ówczesny, a niedawno zmarły minister spraw zagranicznych Polski odrzucił nie-pretensje.

Józef Beck wiedział, że po pierwszym pokojowym żądaniu nastąpiły nowe, że w pokójowym ustępstwach wejście na równość, po której wszyscy będą go do dalszych ustępstw. Zdawał sobie

dokładnie sprawę, że ustępując Niemcom na zachodzie, nie tylko poza mglistymi obietnicami nie uzyskuje nic, ale co więcej nie ratuje nawet tego, co jest już polskie na wschodzie.

Zbyt dobrze rozumiał, że słowo „rekompensata” oznacza przede wszystkim rezygnację, a rezygnacja w sprawie granic jest wstępem do poddania Polski pod zwierzchnictwo Niemiec. Opieka ta przędz czy później doprowadziłaby do uczynienia z Polski obiektu gry międzynarodowej. A taka gra zakończyła się już raz w przeszłości, paktem Fryderyka Wielkiego z Katarzyną II i rozbiorem Polski między Niemcy i Rosję.

Beck wiedział, że tą drogą nie uratuje Polski od zagłady. Jeśli uchroni ją na jakiś czas od wojny, to nie uratuje od niewoli pokojowej, od wykreślenia jej z życia międzynarodowego, przekreślenia jej roli wśród najbliższych współżyjących z nią narodów, od całkowitego osamotnienia.

I zdawał sobie sprawę, że to, co pozostałoby w rezultacie jego wahań i nie zdecydowania, to jedynie jego, a więc i Polski dobrowolna zgoda na okrojenie jej terytorium. Zgoda, która jak zawada leżałaby na naszej drodze nawet wówczas, gdyby nastąpiły dla nas pomyślniejsze okoliczności. Wybrał nieustępliwość. Nie mogą uniknąć przemocy wołał się jej przeciwstawić niżli ulec dobrowolnie. Rozumiał bowiem, że na skutek istniejących zależności między życiem narodu polskiego i życiem innych narodów, aspiracje wroga muszą niezadługo wywołać konflikt międzynarodowy, w którym sprawa polska odżyje na nowo. Pragnął, aby w tym konflikcie wystąpiła ona w całej pełni i żeby żadne polskie prawa nie zostały uprzednio umniejszone przez samych Polaków.

Zarzucono Beckowi, że był faszystą, że otaczał swą politykę tajemnicą, że miał dyktatorskie zapędy, a jednak nikt mu nie może zarzucić, że w tej zasadniczej decyzji odstąpił chociażby na krok od tego, co by-

ło wołą narodu.

Przypomnienie decyzji i stanowiska Józefa Becka nasuwa się mimo woli, gdy rozważa się skąpe wiadomości o rezultatach ostatniej podróży p. premiera Mikołajczyka do Waszyngtonu.

...Podróż tę poprzedził udział 2. Polskiego Korpusu w ośmiennym włoskiej i krwawo zwycięstwo pod Cassino. Ten wielki wysiłek żołnierza polskiego, otwierający sprzymierzonym drogę do Rzymu, czyniony był z tą świadomością, że polityce naszej w walce o całość Polski trzeba dać nowy, atut do ręki. W ten sposób zwycięstwo to było również oceniane i rozumiane przez obcą prasę. Twierdzono w niej, że pozwala ono premierowi polskiemu na stanowcze stawianie sprawy polskiej.

Przed wyjazdem p. premiera przybył wysłannicy kraju, którzy wyrazili nieustępliwie stanowisko społeczeństwa znajdującego się pod okupacją.

(Dokończenie na str. 7)



2564 00 1944

Dr. TADEUSZ FELSZTYN

TAJEMNICZA BRONĀ — POCISK RAKIETOWY

W poprzednich dwóch artykułach *) inowaliśmy o zagadnieniu napędu raketowego i o sposobie realizacji tego napędu w samolocie raketowym przez wykorzystanie energii cieplnej powstającej przy wybuchu mieszanki benzynu z powietrzem.

W pocisku stosowanie tego typu urządzenia nie jest jednak możliwe. Trudno sobie bowiem wyobrazić, ażeby w tyle pocisku można było zbudować cały silnik. Tu więc stosować trzeba sposób z przed półtora wieku, a mianowicie masę pirotechniczną nadającą pociskowi odpowiednią szybkość lotu.

Spalanie się tej masy w komorze wybuchowej pocisku odbywa się w warunkach znacznie bardziej niekorzystnych, niż spalanie się prochu w lufie. Aby uzyskać po-

wu gazów i w tym więcej gazów, wypływa w jednostce czasu. Kierunek tego impulsu zależy wyłącznie i jedynie od kierunku wypływu gazu, przy czym oba te kierunki są zawsze pod kątem 180 stopni. W ten sposób impuls nie zależy od kierunku lotu pocisku, ale wyłącznie od tego, w jakim kierunku skierowana jest w danej chwili os pocisku będąca równocześnie osią dyszy.

Ażeby pociskowi nadać kierunek, stosuje się wyrzutnię raketową t. j. rurę bez dna, w których umieszcza się pociski, zapalany zwykle elektrycznie. Pierwsze wypływające gazy ruszają pocisk z miejsca, a rura nadaje mu kierunek. Tego rodzaju pociskiem jest np. angielski pocisk p-loniczny, opisany w prasie angielskiej, z której czerpiemy niniejszy rysunek (2), oraz niemiecki NEBELWERFER (rys. 3), 6-lufowy, który stanowi broń o celności nie dużej, ale za to o potężnej sile wybuchowej pojedynczego pocisku. Na tej samej zasadzie ma podobno być oparta owa „tajemnicza broń”, którą Niemcy grozili Anglii zwiadcującą zasypanie terytorium angielskiego gradem pocisków, wyrzucanych z brzozy francuskiego.

Pociski raketowe przedstawiają szereg bardzo cennych zalet. Pierwszą z nich to niewątpliwie lekkość działa. Siła działająca w rurze wyrzutnicy raketowej są minimalne, a odrzut żaden, toteż rura może być cienka, a podstawa lekka. Jest to szczególnie ważne, gdy chodzi o działo sprężonogone lub też działko, które ma wyrzucać duże pociski z pierwszych rzutów walczących, a wszędzie gdy chodzi o wyrzucanie ciężkiego pocisku o dużej ilości materiału wybuchowego, z samolotu własnego na samolot przeciwnika.

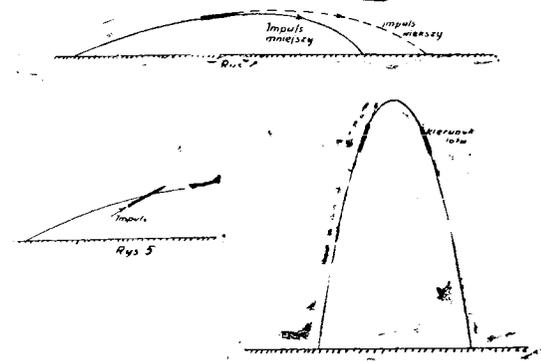
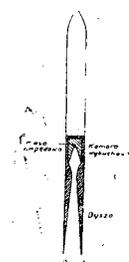
Druga zaleta to możliwość uzyskania — teoretycznie przynajmniej — dowolnie dużych szybkości. Było tylko ilościę masy napędowej była dostatecznie wielka, można pociskowi nadać każdą dowolną szybkość. W praktyce jednak ze wzrostem masy napędowej rośnie trudność technicznego rozwiązania, a szybkości dotąd osiągane są zwykle mniejsze niż te, jakie pociskowi nadaje lufa.

Jedną tu jednak zachodzi różnica na korzyść pocisku raketowego. Normalny pocisk ma szybkość największą u wylotu,

z pominięciem zamkniętego, np. ze schronu.

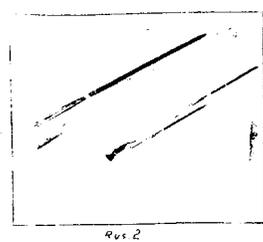
Drugą poważną wadą pocisku raketowego jest znacznie mniejsza jego celność niż pocisku wystrzelonego z lufy. Jak to już więcej wspomnieliśmy, niemiernie trudno uzyskać należyłą regularność spalania się masy napędowej w komorze wybuchowej pocisku, na skutek czego będziemy mieli zmienne wielkości impulsu w czasie lotu i to zmienne mniej lub więcej nieregularnie. Wyobraźmy sobie, że gdzieś na torze (rys. 4), pocisk otrzymuje swój impuls. Jeżeli impuls ten będzie mniejszy, pocisk pojedzie dalej, jeżeli większy, pocisk pojedzie dalej. Ponieważ impuls ten jest zmienny, i to zmienny nieregularnie, rozrzut pocisku raketowego jest większy w porównaniu

Opórzte naturalnych przyczyn wahań pocisku na torze, wynikłych z praw mechanicznych jego lotu, dochodzą jeszcze i czynniki dodatkowe, spowodowane ruchami atmosfery, a więc zupełnie przypadkowymi i silnie zmiennymi uderzeniami wiatru. Takie przypadkowe odchylenia pocisku od kierunku jego lotu zostaje jeszcze bardziej spotęgowane faktem, że impuls zawsze idzie w kierunku osi pocisku, a nie w kierunku przrzuwania się jego środka ciężkości. Ten czynnik zmienności wiatru, który tak fatalnie odbija się na celności dział daleko nośnych, powodując, że np. na odległości 128 km, w Paryżu, obrzymsze koło o średnicy 11 km, trafiłoby zaledwie 60 procent wystrzelonych pocisków — jeszcze niekorzystniej oddziaływać będzie na pociski ra-



trebną szybkość i należyłą regularność spalania się prochu w lufie, gwarantującą celność działa, trzeba bardzo starannie dobrać kształt i wielkość komory nabojeowej, skład, kształt i wielkość ziaren prochu, ciężar i ułożenie ładunku, wielkość i rodzaj zapłonu, oraz uwzględnić cały szereg innych czynników bez których należącego przemyslenia wyniki strzelania będą bardzo słabe. O ilez trudniej przedstawia się sprawa w rakietce! Masa prochowa musi spalać się dostatecznie szybko, jeżeli pocisk ma otrzymać należyłą szybkość, a nie za szybko, ażeby ciśnienie jej nie rozerwało dyszy. Musi się ona przy tym spalać bardzo regularnie, jeżeli celność pocisku nie ma być wręcz znikomą.

A tymczasem możliwości regulacji są znacznie mniejsze niż w lufie, gdyż wpływać tu można tylko przez skład masy i jej ułożenie w komorze wybuchowej, a ponadto jedynie za pomocą wielkości otworu dyszy. Natomiast spalanie odbywa się w warunkach bardzo nieodpornych. W lufie proch spala się w przestrzeni zamkniętej z jednej strony czołem zamka, z drugiej strony ciasno przylegającą przesłanką, a w pociskach, a równocześnie ciśnienia są duże, co bardzo dodatnio wpływa na regularność palenia się. W rakietce gazy powstałe wypływają na zawątrząz, co ma bardzo niekorzystny wpływ na przebieg palenia się masy pirotechnicznej, a ciśnienia są dużo mniejsze, gdyż inaczey ściany dyszy by ich nie wytrzymały.



Toteż zagadnienie doboru składu i stanu fizycznego masy napędowej jest tu rzeczą pierwszorzędną. Doświadczeniem wicków ustalono różnic mieszanki prochu czarnego, które najlepiej nadawały się do tego celu. Niestety proch czarny jest jednak zbyt mało energetyczny: ciśnienia, jakie on wytwarza, wyrosną mniej więcej w komorze wybuchowej rakiety 1.3 kg./cm. kw. W ten sposób w pocisku kalibru 15 cm o ciężarze 45 kg., gdyby dysza była nieskończenie cienka (co przecież praktycznie jest nie możliwe), można by uzyskać po 10 sek. lotu zaledwie szybkość 125 msek., a po 30 sek. szybkość 380 msek. — i to gdyby nie było oporu powietrza.

Dlatego praca wszystkich specjalistów z dziedziny pirotechniki szła przed obecną wojną w kierunku uzyskania mas napędowych bardziej energetycznych, a równocześnie zapewniających należyłą regularność spalania się. Pomimo głębokiej tajemnicy, jaka wszędzie otaczała te badania, było wiadomym, że w 1939 r. nikomu jeszcze nie udało się rozwiązać tego zagadnienia w sposób całkowity. Widocznie jednak od tego czasu postępy musiały być szybsze, gdyż obecnie zarówno Niemcy jak i sprzymierzeni stosują już zupełnie dobre pociski raketowe.

Zasadę działania pocisku raketowego omawiliśmy w pierwszym artykule niniejszego serialu. Powtórzmy ją po krótko. W komorze wybuchowej pocisku (rys. 1) umieszczona jest masa napędowa, która spalając się wytwarza gazy, wylatujące z dyszy z wielką szybkością do tyłu. Wpływ ten nadaje pociskowi odpowiedni impuls, tym większy, im większa jest szybkość wypły-

najmniejszą odległość pomiędzy wierzchołkiem a punktem upadku, przy czym jego szybkość w punkcie upadku jest zawsze dużo mniejsza, niż szybkość wylotowa. W pocisku raketowym natomiast szybkość przez cały czas lotu rośnie i jest największa w chwili, gdy pocisk uderza w cel, co jest bardzo pożyteczne z punktu widzenia skutku, jaki zamierzamy osiągnąć.

Dalszą zaletą broni raketowej jest to, że można wyrzucić dowolnie wielkie pociski. W działach kaliber jest ograniczony ciężarem działa i możliwością technicznego wykonania dużych luf. Natomiast napęd raketowy pozwala na wyrzucanie obrzymskich mas, gdyż przekrój rury wyrzutnicy może być dowolnie wielki. Dlatego też tam, gdzie chodzi o wyrzucanie bardzo dużych pocisków, napęd raketowy jest nie do zastąpienia.

Teoretycznie rzecz biorąc można przy pomocy napędu raketowego uzyskiwać do woli duże odległości. Największa dotąd uzyskana donośność działa wynosiła 128 km. Taką donośność miała armata, która ostrzelała Paryż w 1918 r. Przy dzisiejszej technice można by te odległości zwiększyć, a to do 200. Pocisk raketowy mógłby niekiedy i do 200. Pocisk raketowy mógłby niekiedy i do 200. Pocisk raketowy mógłby niekiedy i do 200.

do pocisku wystrzelonego z lufy, który impuls swój dostaje tylko raz, w chwili, gdy pocisk opuszcza lufę i to z bardzo dużą regularnością.

Do tego dochodzi fakt, że w chwili wylotu z raketnicy szybkość pocisku jest bardzo mała, a tym samym jego stateczność, to jest zdolność utrzymania początkowo nadanego kierunku, jest niewielka. Już więc w pierwszej chwili wylotu kierunek nadany pociskowi jest mniej pewny niż ma to miejsce przy pocisku, który opuszcza lufę z dużą szybkością początkową. Ponadto szybkość pocisku na początku toru jest mała i różnie dopiero w miarę lotu pocisku. Tym samym zdolność pocisku do przeciwstawienia się przypadkowemu zmianom kierunku np. na skutek zmiennych podmuchów wiatru rośnie dopiero w czasie lotu. A jest to niewątpliwie bardzo niekorzystne.

Jeżeli bowiem pocisk zmieni kierunek swego lotu o pewien kąt na połowie swej drogi, to wpływ tej zmiany na miejsce uderzenia pocisku będzie dwa razy mniejszy, niż jeżeli zmianna ta nastąpi w chwili gdy pocisk wylatuje z wyrzutni raketowej. Z tego też względu pocisk gintwontowany czy też brzechwowy, wystrzelony z lufy, mając największą stateczność u jej wylotu, znacznie silniej przeciwstawia się wszelkim zmianom kierunku lotu, niż pocisk raketowy, którego stateczność u wylotu jest właśnie najmniejsza.

Ponadto należy pamiętać, że żaden pocisk nie biega nigdy w ten sposób, by oś jego była stale zgodna z kierunkiem jego lotu. Wprost przeciwnie — ze względu na nieubлагane prawa mechaniki lotu — oś pocisku zakreśla niestannie ru-

ketowe. Dlatego, gdyby Niemcom udało się nawet pokonać trudności wyrzucenia bardzo wielkich pocisków z brzozy francuskiego w głąb terytorium Anglii, to rozrzut tych pocisków byłoby tak obrzymski, że byłoby to tylko strzelanie na zastraszanie, nie mogące wywrzeć żadnego skutku w jakimś określonym miejscu.

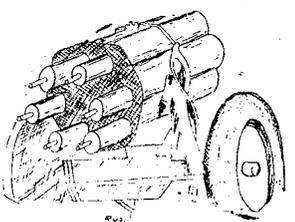
Szczególnie duże trudności przedstawia stosowanie pocisków raketowych na torze stromym. Przy strzelaniu tym torem, w pobliżu wierzchołka pocisk musi w ciągu krótkiego czasu zmienić swój kierunek lotu niemal o 180 stopni (rys. 6). Ażeby to osiągnąć, w chwili lotu pocisku nie może być zbyt duża, gdyż inaczey pocisk znajdzie się na części opadającej toru nie ostrzem, ale dnem do przodu. Jest to powód dla którego z dział gintwontowanych nie można strzelać kąta mi podniesienia większymi niż 65 stopni do 70 stopni.

Cały więc problem dobrej konstrukcji pocisku przeznaczonego do strzelania torem stromym polega na tym, ażeby pocisk miał dostateczną stateczność i sztywność lotu u wylotu, a nie miał zbyt dużej sztywności lotu u wierzchołka. W pociskach raketowych zagadnienie to jest trudniejsze, gdyż napęd raketowy nadaje pociskowi w przez cały czas jego lotu kierunek identyczny z kierunkiem jego osi, co utrudnia należyście szybko zmienić tego kierunku w pobliżu wierzchołka toru stromego.

Powiększe wady, a zwłaszcza stosunkowo mała celność pocisku raketowego, są powodowane, że pocisk ten dziś nie jest jeszcze poważnym konkurentem dla pocisku wystrzelonego z lufy.

Zresztą należy pamiętać, że w ogóle nowe postępy techniczne dosięgły powoli wchodzi w życie i nie szybko wypierają narzędzia dotychczas stosowane. I tak np. tuk i kusza kilka wieków jeszcze istniały obok ręcznej broni palnej, bagnet powoli tylko zastąpił piłą w uzbrojeniu piechoty. Ale nawet i tak doskonały post. p. techniczny, jak wro wadzenie lufy gintwontowej, nie od razu spotkał się z powszechnym uznaniem. W wydanej 1867 roku w Paryżu książce p.t. „O działach gintwontowych”, podaje Galezowicz następujący fakt (cytuje z pamięci): „W 1862 roku okręty wojenne angielskie strzeływały walcę z Japobczykami (chodząco o otwarcie dostępu Europejczykom do Japonii. Okręty te po raz pierwszy były uzbrojone w działa gintwontowe, zrozumiąj jest więc rzeczą, że po zakończeniu walk admiralacja angielska rozpisła ankietę dla zebraania opinii o tych działach. Wobec jednak zdania zwadności pierwszych dział tego typu, jeden z kapitanów odpowiedział typowym angielskim dowcipem: „Owszem, działa te są zupełnie dobre, pod warunkiem jednak by obok każdego działa gintwontowego po stronie działu z lufą gładką. Wtedy przy najmniej będę wiedział, że w czasie bitwy będę miał z czego strzelać!”

Toteż w dzisiejszym stanie rzeczy i prawdopodobnie w bliskiej jeszcze przyszłości pociski raketowe będą mogły znaleźć zastosowanie jedynie do pewnych szczegó-



chy wadliwosci lub spiralne dookola toru pocisku. W pociskach normalnych ruchy te są nie duże i w matyn tylko zaklesie wpływają na rozrzut. Wyobraźmy sobie teraz, że w pewnej chwili (rys. 5), pocisk raketowy znalazł się na torze ostrzem skierowany do góry. Jasną jest rzeczą, że impuls, który w tej chwili otrzyma jeszcze bardziej odchyłać go będzie od dotychczasowego kierunku jego lotu. To samo się dzieje, jeśli ostrze skierowane jest w dół lub w bok. W ten sposób kierunek lotu pocisku będzie niestannie zmienny, a ruchy wadliwosci, czy też spiralne pocisku dookola toru powiększają się i do tego powiększają się nieo nieregularnie, gdyż impuls są zmiennie. Czynnik ten znowu zmniejsza celność strzala.

*) Por. ORZEŁ BIAŁY Nr 16 (106) z dnia 11 b.m. „Rakieta i napęd raketowy” oraz Nr 17 (107) z dnia 18 b. m. „Samolot bez śmigła”.

Z POEZJI ŻOŁNIERSKIEJ

MAJ UCHODŹCZY

ŚPIEWAJ MI ZIEMIO...

*W hotelu Mena sznury linuzyn i grzędę tyścin.
Gdzieś w Nazarecie mów Kataliny uczy się Kryśta.*

*W Bagdadzie upał. Kawadki lodu pływają w wazie.
W Libanie zieleń, w ogrodzie Yohy zakwitły bazi.*

*W Londynie — nie wiem, pewno jak zwykłe ktoś kruszy kopie
O sprośowaniu, o komunikal, o rozchod w COPIE.*

*Ktoś cicho płacze, ktoś się uśmiecha, ktoś pisze powieść —
„Smukłą anforę niosie dziewczyna na czarnej głowie..“*

*Doktor niezmiennie w panie upartej jest zachowany.
Mlekiem w szpitalu czyta Celine'a i leczy rany.*

*...Maj zesłotoczny — wiosna kurdyljska — „cierń kłuje słoty“ —
Jak dziś dalekie! Krowiajny beton twierdzi Europę.*

*To nie jest frazes, bracie odległy, to jest eufonizm.
Pocóż cię struszyć trapez gnijącym, męką agonii?*

*Kair i Bagdad, Beirut i Haifa — nie nasza ziemia,
Jeśli nie można świata rozbroić, tygurob nie ma.*

*Trzeba się walcie w rowy i bunkry i z kłkiem końać,
Ołów nieś w skroni, popoł źnie w ustach, krew mieć nadłoniach.*

*...Wmąj posępny, w kraju wojennym, pod czarnym krzakiem,
Wiosną szycderczą, martwą purpurą zakwitły maki.*

*Opamiętam cie, ziemo włoska
Bezenną mająjąc nocą.*

*Jeśli nie dojdę do Polski,
Daj mi tu spocząć.*

*W Agua Fondada, w Cervaro,
W dław metrach ziemi nieznośne
Mieć będę śmiertelnie trwałą
Drugą ojczyznę.*

*Po drodze, punkt sanitarny
Odbierze znak łoboskości...
Nie mów, że będzie banalnie —
Będzie najprościej.*

*Jestem po prostu żonony,
Choć stać mnie jeszcze na porju.
Chodzi tu ze mną po schronach
Piekęca gorzecz.*

*Dławią mnie słowa męczące,
Nie wyszarpane z gardła,
Gdy w szorskiej, żołnierskiej orce
Stroja mi marla.*

*Wiem, czas jest wojny — nie wierszy.
Ludzie padają pokotem.
Noc twarde odłamki w piersi
Rzuca z chuchotem.*

*Ale to holi dziś nawet,
I w krawacie bitewnej koshie,
Ja nie chcę werbli i lauel,
Jedną mam psobę.*

*Śpiewaj mi ziemo brzezina
I szumem smutku i łopoli
Z masywn Monte Cassino
I tych z Rivoli.*



Artur Międzyrzecki

Józef Czapski: Autoportret

Artur Międzyrzecki

OD KAPISTÓW DO „ORŁA BIAŁEGO”

Mjr Józef Czapski, który przez dwa i pół roku był szefem Wydziału Propagandy i Kultury A. P. W., uległ w wiosnę zyczeniu z zajmowanego stanowiska. W rozkazie zwalniającego mjr Czapskiego Dzia 2. Polskiego Korpusu gen. W. Anders wyraził mu podziękowanie za dokonaną pracę.

Działalność mjr Czapskiego w A. P. W. znadziało odzwiek i uznano również poza terenem wojska. W nr 9(1) z 27 lutego br. „Tygodnika Polskiego” wychodzącego w Nowym Jorku ukazał się poniższy artykuł:

„Gdyśmy latem 1940 roku mówili z sp. Bolesławem Micińskim o tym rzadkim gatunku ludzi, którzy jak szlachetny kruczek, z każdej próby, im była trudniejsza, tym doskonalą wychodzą — zaraz nam nazwisko Józefa Czapskiego na pamięć przyszło. Ale wtedy niewiele było o nim wiadomo prócz najważniejszych troski, czy żyje on jeszcze — mury Starobielska odgradziły się bowiem milczeniem od reszty świata.

Minął jeden długi rok wojny, minął drugi i oto pamiętam radosne wzruszenie Jana Lechonia, gdy otrzymał od nowomianowanego szefa Wydziału Propagandy i Oświaty Armii Polskiej na Wschodzie — a był nim nie kto inny jak właśnie Czapski — telegram, w którym tenże prosił go o przyjęcie udziału w jury konkursowym na pamiętnik żołnierski ogłoszony przez dowódców Armii Polskiej na Wschodzie i redakcją „Białego Orła”.

„Od Kapistów do „Orła Białego”, jakąż to niezwykła droga” — powiedział wówczas Lechoń.

Istotnie, wydawać by się mogło, że przejście z roli czołowego malarza Kapistów (K. P. — Komitet Paryski, zawiązany na Akademii Krakowskiej w r. 1924 przez uczniów Pankiewicza celem wyjazdu na dalsze studia do Paryża), jednej z najwybitniejszych indywidualności artystycznych tego pokolenia, na oficjalne stanowisko w wojsku — jest krokiem samym przez się niezwykłym. Skąd takie opamiętanie nowego terenu, skąd taki kapitał energii w jednym człowieku, który przecież między tamtą a tą swojego życia epoką odbył wraz z innymi kampanie wresznie już blisko dwa lata sowieckiej niewoli, nim się znalazł szczęśliwym wyrokiem Opatrności w grupie kilkuset oficerów.

I oto ten rozdział życia, którego poszczególne karty poznamy zapewne kiedyś, stał się w nabliżycyjszej ocenie artysty — „przerwą w pracy”; poświęca on tej głębie i analitycznej uwadze w doskonałym studium o technice malarskiej, drukowanym w dwutygodniku „W drodze” wychodzącym w Jerozolimie. „Na to, żeby coś osiągnąć, nie wystarczy iść, trzeba lecieć” — cytując on w tym samym artykule słowa św. Teresy z Avili.

I widać, jak te słowa, zastosowane do malarstwa — głęboko mu w psychikę zapadły. Bo jak inaczej nazwać, jakże lepiej scharakteryzować owo namiętne oddanie się sprawie od pierwszej chwili odzyskanej wolności, pośpiech nadrobienia straconego czasu, gorączkę wysyłanych telegramów do Londynu, Waszyngtonu i New Yorku, w których nie uwzględnia on nawet czynników czasu, cenzury i transportu. Raz chodzi o książki i czasopisma, kiedy indziej o wystawę malarską, która po objeździe Kairu, Aleksandrii, Bagdadu, Tel-Awivu i Jerozolimy przesłana ma być do Ameryki — to o drukarnię połową, „tak niezbędną przy naszych ciągłych przesunięciach, daj Boże, coraz bliższych Polakom” — to wreszcie o oświatę w wojsku.

„Moglibyśmy piękło wybrukować obietnicami przysłania nam książek i druków z Londynu czy nawet z Ameryki” — pisze w ktryms liście — „ale na razie to są wszystkie obietnice, a w rzeczywistości żywny się własnym przemysłem. Wydział ma dwa pisma, teraz zaczyna wydawać książki i w najbliższym czasie montujemy pismo codzienne wojskowe. Palestyna została doszczętnie wypompowana z książek polskich i wszystko mało... Beznadziejnie airgrahpujemy na wszystkie strony świata, żebyście nam pomogli wierszami, korespondencjami, artykułami poważnymi i lekkimi. Mamy trzy teatry: na prawdę świetnie wystawiliśmy „Damy i Huzary”. Potrzebny nam koniecznie repertuar. Pono lech sztuki napisał Cwojdziki, może Lechoń i Wierzyński. Pa-

miętajcie, że tu jest kilkadziesiąt tysięcy Polaków i że jest zwyczajny obowiązek tym ludziom dać słowo polskie.

„Myślę o zorganizowaniu wystawy żołnierskiej polskiej w Ameryce. Trzeba by dla takiej wystawy, równoległe z jedną salą na poziomie naprawdę europejskim, dać również materiał ilustracyjny z życia armii, wprost propagandowy a także pokazać komplet fotografii (kier. działu fot. Wiktor Ostrowski). Mamy bardzo piękne, artystyczne duże powiększenia ilustracyjne naszego życia na pustyni. Pozw tym film o dzieciach, który się zaczyna wśród wszy i łachmanów, a kończy się w pięknych obozach jumaekich pod piramidami, narkropany przez Waszyńskiego i Toma, też przez nasz wydział”.

„Moje najważniejszą sprawą jest dziś doszkalamie młodzieży w wojsku. Wydany został właśnie rozkaz wysyłający około 500 żołnierzy do Palestyny na małą i wielką maturę oraz wystanie kilkadziesiątu niedokończonych miedyków i studentów na uniwersytet w Bejrucie. Mamy jednak inną ideę fixe, jeszcze w stanie dość płynnym. Chcielibyśmy wydać 20-30 studentów politechniki na politechniki amerykańskie, w mundurach polskich. Byłoby to i propagandowo efektowne i praktycznie dla Polski ważne... Czy byście wy tam, z Ameryki, nie mogli tej sprawy poprzeć fundacją np. parę stypendiów? Myślę z przerwaniem o wyniszczeniu inteligencji polskiej i wbrew wili trudnościom, które istnieją w każdej akcji, wielu bardzo naszych dowódców rozumie waga tego za-

gadnienia i gotowi są dopomagać w doszkalamiu młodzieży”.

„Robota jest trudna i chaotyczna” — pisze dalej Czapski — „ale przecież dość dużo się robi”. I jedno zdanie, w którym odzwajają nagłe wszystkie dawne wspomnienia: najpierw znane tylko jak w legendzie nazwiska tej grupy artystów, którzy już z Paryża wrócić mieli do Polski, zwracające uwagę „europejskim” poziomem ich płótna w Salonie u Baryczków a potem już lata wyteżonej pracy, związanej z Instytutem Propagandy Sztuki i Związkami Plastyków, z osobą Kłosa Strjenskiego i Felicjana Kowarskiego.

„Mam wrażenie, że gonię za jakąś utysiątkrotną imprezą Kapistów i w tej robocie twoja pomoc szalenie mi jest potrzebna”. A przecież nie tylko wszelkie imprezy Kapistów, ale samo powstanie grupy, ale jej artystyczne osiągnięcia i wpływ, jaki dzięki nim miała następnie wywrzeć na młodzieży kolegów, w dużej mierze właśnie na osobie Czapskiego się opierały.

Artysta o zdecydowanie własnym i dojrzałym obliczu, zatopiony w mistycznych dociekaniach i skupionej kontemplacji, gdy tworzył — poza pracownią stawał się Czapski człowiekiem o bardzo ożywionej działalności, hojnie szafującym swym czasem, towarzyskim, doskonałym społecznym. Instynkt społeczny, który u jednostek niezorganizowanych bywa często elementem destrukcyjnym, w organizacji psychicznej Józefa Czapskiego przybrał formę jakiegoś płomiennego apostołstwa. zapamiętałego oddania się sprawie, której służył. Każde płótno wyszłe z jego pracowni, każdy odczyt (a wygłaszał ich wiele), każdy napisany artykuł czy rozprawa malarska, zwłaszcza zaś kapitalne studium o Pankiewicz i szkic o „Cezannie i świadomości malarskiej” cechuje bezkompromisową postawą artystyczną i rzetelnością uczynego wysiłku.

Pisze dziś o nim jeden z kolegów wspominając najcześnie chwile niewoli, że „był on naszym płomiennym intelektualnym i najdroższym kolegą”; staje mi przed oczyma ołówkowy autoportret z tych czasów, reprodukowany w „Wiadomościach Polskich” w Londynie jako jeden z pierwszych dokumentów „stanął”, gdy otworzył się — teraz wiemy, że nie dla wszystkich — mury więzienia. Przejmujący portret, boleśniej niż jakiegokolwiek słowa umowy.

Płomienn intelektualny. Jak prosto powiedziane i jak prawdziwe. Do takiego zadania, jakie życie przed nim stawia, podchodzi ten człowiek z tą samą wewnętrzną powagą, z uczciwością wyluczającą wszelką koncepcję, z płomiennym zapajem i gorącą wiarą, która góry przerosi”.

TAJEMNICZA BRON

(Dokończenie ze str. 2)

nych zadań. Będą to głównie zadania następujące:

A. Wyrzucenie ciężkich pocisków na stosunkowo niewielkie odległości. Jest to więc typ niemieckiego „Nebelwerfer” (rys. 3.), broni służącej do strzelania do pola, lecz nie nadającej się jednak zupełnie do ostrzeliwania małych celów. Ciekawą jest — nawiasem mówiąc — rzeczą, że broń tę użyli pierwsi Rosjanie w 1941 r., a Niemcy od nich dopiero „Nebelwerfer” w Niemczech.

B. Do wyrzucania bardzo wielkich pocisków na znaczne odległości. Wobec jednak omówionej wyżej niezmiernie małej celności tego strzelania i wielkiej jeszcze trudności technicznych związanych z osiągnięciem tak dużych odległości, broń ta, nawet gdyby trudności techniczne udało się pokonać, może mieć jedynie charakter zastępczy, nigdy zaś broni ostrzeliwiającej skutecznie określony cel. Każdy samolot wykoną to zadanie znacznie lepiej.

C. Do wyrzucania ciężkich pocisków na niedalekie odległości z broni bardzo lekkich, a więc przy desancie spadachronowym, przy desancie morskim, z wyrzutni rakietowej, umieszczonej na czymś z ro-

dzażu carriera (wyrzutnie takie mają np. Niemcy przy niektórych wozach terenowych, podobnych do carrierów angielskich), lub na samolocie itp.

D. Do ostrzeliwania celów bliskich wielką masą pocisków o dużej zawartości materiału wzbuchowego. Ten na przykład charakter noszą przeciwlotnicze pociski rakietowe angielskie (rys. 2). Tym samym więc, skoro zwaćcać one mogą tylko nisko lecące samoloty, nie mogą one w żadnym wypadku — przy obecnym stanie rzeczy przynajmniej — zastąpić zwykłych dział przeciwlotniczych, jak to sobie wyobrażają niektórzy naiwni dziennikarze.

E. Jako broń przeciwpancerną, wystrze liwaną z ramienia na bliskie odległości i wyrzucającą wielką ilość materiału wybuchowego. Broń taką mają np. Niemcy.

W przyszłości, być może — w miarę udoskonalenia technicznych, pocisk rakietowy znajdzie i inne, szersze zastosowanie. Na razie jednak jest to broń pomocnicza, wypełniająca te zadania, które trudno dobrać wykonać pociskami wystarczająco dużymi, broń istniejąca o obik normalnego działka czy karabina, lecz nie mogąca go dziś jeszcze w pełni zastąpić.

Dr Tadeusz Felszyn

MICHAŁ CIOŁEK

Przyszłość państw bałtyckich

Popularny ilustrowany tygodnik londyński *Picture Post* w numerze z dn. 1 kwietnia r.b. zamieścił wspólny artykuł A. J. E. Taylora, wykładający historię w oksfordzkim Magdalen College, pod tytułem: „Jaka będzie przyszłość państw bałtyckich?”.

Dla polskiego czytelnika jest to nielada sensacja. Los bratnich krajów bałtyckich, tak silnie przez samą geografję związanych z naszym losem, obchodzi nas i bezpośrednio i w bardzo wysokim stopniu jest sprawdzianem polityki mocarstw. Od lat trzech jednak, tj. od chwili znalezienia się Rosji w obozie antyniemieckim, temat ten nader rzadko jest przez prasę sojuszniczą poruszany. Pisać w obronie byłego niepodległego narodów bałtyckich — niewygodnie, jeśli się nie chce zrazić potężnego sprzymierzeńca. Propaganda zaś na rzecz prawa silnych do panowania nad słabszymi była równie niewygodna — z innych przyczyn. Uznano więc za najpraktyczniejszą metodę przemilczania. Po co wywoływać dyskusję, gdy temat jest tak śliski?

Artykuł p. Taylora jest zatem odstępstwem od reguły. Nie wiemy, czy mamy tu do czynienia ze zmianą taktyki, czy też z przypadkowym potknięciem się. Tak czy inaczej, dobrze się stało, że opinii świata przypominano tę pozornie drobną, a w rzeczywistości bardzo doniosłą sprawę i to w sposób zachęcający do dalszych rozważań.

Teżą naczelną autora, wybitną w podtytułach i dwukrotnie powtórzoną jest, że „Łotwa, Litwa i Estonia mogą znaleźć bezpieczeństwo jedynie jako samorządne republiki wewnątrz Związku Sowieckiego”. Twierdzenie w głównej swej osnowie nie wymaga dowodu: jest oczywiste, że plotka polkniczą przez szczerą prasę staje się zupełnie martwicę o własne bezpieczeństwo. Jedynie sprawa tych „samorządnych republik” mogłaby, budzić niejaką wątpliwość. No i słowo „jedynie”.

Ale p. Taylor, jako mąż nauki, nie chce swego poglądu narzucać dogmatycznie, usiłując więc przeprowadzić dowód prawdy. Jako historyk, posługuje się przesłankami historycznymi.

Osobliwego smępla jest ta historia. Dowiadujemy się od znakomitego wychowawcy oksfordzkiej młodzieży, że

„Ludy wschodniego wybrzeża (Bałtyku), do których się zazwyczaj zaliczania termin „narody bałtyckie”, nigdy nie posiadały niepodległości, ani nawet okrośnionego bytu narodowego przed 1918 r.”.

Miernie nawet obczany z historią Litwy czytelnik przeciera w tym miejscu oczy. W dzwigni sprzeczności z tym zaprzeczeniem litewskiej samodzielności państwowej i z wyobrażeniem Litwinów jako grupy chłopskiej, rządzonej przez niemieckich rycerzy, stoi dalsze przyznanie, że „litewscy właściciele ziemscy przeprowadzili dobrowolną unię z Polską”, musieli więc nie tylko istnieć, ale także mieć wpływ na politykę. Przecież ci Olgierdowicze, czy późniejsi Radziwiłłowicze nie byli chyba „rycerzami teutońskimi”, skoro do unii z Polską skłoniła ich właśnie obawa przed najeźdźcą niemieckim.

Trzęś artykulu sprzecza się także z załączonym do niego mapkami. Nie tylko widzimy na jednej z nich państwo litewskie w r. 1300, ale na innej mapce — z r. 1660, autor wyciąga do Litwy całą Polskę, na przekor własnemu twierdzeniu, jakoby unia była tylko polskim panowaniem nad Litwą.

Niemniej swoiście wyłożone są dzieje lat ostatnich:

„Zaden z krajów bałtyckich nie stał się niepodległym przez wysięk własnego ludu. „Wyjątkiem była Finlandia, która z niemiecką pomocą osiągnęła niepodległość w 1918 r.”.

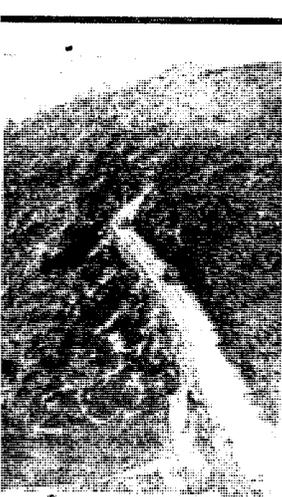
Niepodległość państw bałtyckich „była przypadkiem, wytworem ubocz-

nym czerolejowej wojny, a ich przetrwanie zależało od pozostawania sojuszniczej przewagi wojskowej na Morzu Bałtyckim.

„To się jednak skończyło, jak wskazuje polskie wyzwanie rzucone krajom sprzymierzonym przez zajęcie Wilna, stolicy Litwy, nawet zanim jeszcze państwa bałtyckie zaczęły się organizować; było tylko sprawą czasu, kiedy ciós spadnie”.

Zajęcie zatem „stolicy Litwy”, w rzeczywistości polskiego miasta, to wyzwanie rzucone sprzymierzonym. Ale zabór całej Litwy, Łotwy i Estonii przez zupełnie inni obcego sąsiada — to akt dla nich dobroczynny!

Autor płacze się dalej: „Sztuczna niepodległość państw bałtyckich nie może się nigdy oprzeć o własną siłę niemieckiemu militarizmowi. Dlatego właśnie Niemcy zawsze je podtrzymują”.



Caendish Road

Natomiast

„Rewolucja rosyjska zakończyła carski imperializm i gdyby to zależało od samej Rosji, zezwolono by państwom bałtyckim na kontynuowanie ich sztucznego istnienia”.

Wynika stąd, że imperialistyczne Niemcy podtrzymywały niepodległość słabych sąsiadów, natomiast pozbowania imperializmu Rosja polkniła ich dla ocena przed zaborczyścią niemiecką i gotowa jest ten czyn powtórzyć.

Byłoby naiwnością przypuszczenie, że artykuł jest objawem ignorancji. Zbyt wysoko cenimy angielskie szkolnictwo. P. Taylor może nie znać wydanej w czasie wojny znakomitej, opracowanej właśnie przez oksfordzkich uczonych, tych z prawdziwego zdarzenia oraz uczonych polskich, historii Polski. Niewątpliwie jednak posiada elementarne wiadomości zawarte w każdym podręczniku, czy w *Encyclopaedia Britannica*. Jaskrawe więc rozminienie się z rzeczywistością i popadanie z tego tytułu w ustawiczne sprzeczności, że z jednej strony dowód niewygodnego sądu autora o wyrobieniu historycznym czytelników *Picture Post*, z drugiej zaś wyraz chęci uszczyka choćby tak grubymi niemi propagandy na rzecz wyżej przytoczonej tezy zasadniczej.

Stłusnek p. Taylora do czytelników *Picture Post* nie zajmuje nas zupełnie. Zato propaganda przeciw niepodległości naszych bałtyckich sąsiadów musi nas obchodzić w tym samym stopniu, co i zakusy przeciw Polsce. Bezpieczeństwo bowiem wszystkich krajów Międzymorza jest niepodzielne. Strategiczne okrzyknięcie Polski przez Związek Sowiecki miałoby do kładnie te same następstwa, jakie odczułby wskutek okrzyknięcia nas przez Rząd. Dlatego musimy się ciszyć, że próba uszczuplenia zanachu przeciw suwerenności krajów bałtyckich okazała się możliwa dopiero przy tak nefrassobliwym obejściu się z rzeczywistością.

Oskarżenie Polski o zaborczość przy okazji sprawy wileńskiej jest p. Taylorowi

potrzebne dla uprzedzenia narzucającego się stwierdzenia, że niepodległość państw bałtyckich operata się w przeszłości, a więc i nadal operat się może o współpracę z Polską i z krajami na południe od niej leżącymi. Współpracę narodów suwerennych, na zasadach wolności i wzajemności.

Z tego samego powodu autor pomina rolę Polski w uwolnieniu Łotwy i umiar Rzeczypospolitej, rezygnującej z wszelkich zysków z tego tytułu, dobrowolnie oddając słabemu sąsiadowi przyzwołą na lewym brzegu Dźwiny, nie uzyskującej nawet żadnych gwarancji dla pozostałej na Łotwie polskiej ludności. Nie dziwi nas także pominięcie naszej bardzo na tym odcinu konsekwentnej polityki wyzyskiwania w ciągu lat dwudziestu każdej okazji zbliżenia z krajami bałtyckimi, przy równoczesnym pełnym poszanowaniu ich suwerenności.

Dla udokumentowania „entuzjazmu”, z jakim ludność krajów bałtyckich powitała wcielenie do Z.S.R.R. p. Taylor zamieszcza fotografie kilkadziesiątę Łotyszów z podniesionymi pięściami. Autor tak się w swym zachwycie zapamiętał, że kończy swój artykuł zdaniem: „Po tysiącu lat ucisku, mogą żyć własnym życiem, wolni od obcej władzy” — stosując czas teraźniejszy, gdy od trzech prawic lat rządzą w krajach bałtyckich — Niemcy.

O ile sieczka argumentacji historycznej p. Taylora może oddziaływać na mniej krytycznych czytelników — trudno ocenić. Wypada jednak stwierdzić, że sam pogląd o rzekomej sztuczności i nieżytości państw bałtyckich i o konieczności oddania ich z tego powodu pod kuratelę jest na Zachodzie bardzo popularny także wśród ludzi dalekich od nauki, a nawet poinformowanych, jak naprawdę wygłądło „dobrowolnie” wcielenie państw bałtyckich, uprzednio okupowanych wojskowo, do Związku Sowieckiego i jak wygłądło blisko półtoraroczne rządy „opiekunów” w tych krajach. Mamy tu do czynienia z wypadkiem szczegółowym trudnej do zwalczania psychozy wielkich obszarów i potężnych imperiów. Ta sama psychoza sprawia, że i Polsce, szóstemu co do obszaru i ludności państwu w Europie, stale doradza część prasy anglosaskiej oddanie się pod opiekę potężniejszego sąsiada. Zależnienie idzie tak daleko, że niektórzy nasi przyjaciele wołabym w razie niemożliwości wcielenia nas do Rosji widzieć nas pod opieką — Niemiec niż dopuścić naszą samodzielnność.

W grubym uproszczeniu pogląd ten opiera się na założeniu, iż wobec małej szansy zapewnienia bezpieczeństwa zbiorowego, istnienie obok siebie państw o bardzo nierównych siłach zachęca silniejsze z nich do agresji. Stąd wniosek: lepiej podzielić świat na fedy wpływów kilku imperiów, które będą musiały dobrze się zastanowić, zanim jedno z nich zechce zaciepić inne.

Powolowanie się na oczywistą niemożliwość tego wniosku nie może tu wystarczyć, podobnie jak i powolowanie się na istnienie w przeszłości nie tylko wielkich, ale i mniejszych państw. Polityczne zwalczanie sugestii wielkich obszarów i koncepcji sfer wpływów jest naszym czystem tematem, ale nie mieści się w ramach niniejszego artykułu.

Natomiast postawa nasza wobec zagadnienia krajów bałtyckich musi być niedwuznaczna, gdyż ich sprawa jest naszą sprawą. Przyjrzane rady: doćcieć małe własnych kłopotów, poco maćle jeszcze nieść się w cudze, tak bardzo delikatne sprawy — są wyrazem bądź ignorancji, bądź źłej woli.

Na szczęście, postawa społeczeństwa polskiego wobec zagadnień bałtyckich jest i była na przestrzeni między obu wojnami bardziej jednolita, niż to miało miejsce wobec wielu innych spraw polityki zagranicznej. Zdaje się, że doświadczenia tej wojny wystarczają dla ostatecznej konsolidacji tej postawy.

W szczególności naród polski dobrze rozumiał, że niedoceniecie Bałtyku było jednym z najcięższych błędów pokoleń przedzioborowych, że błędy te nasze pokolenie musi odrobić, że Polska jest jednym z krajów bałtyckich i nie, co się dzieje nad Bałtykiem, nie jest nam obojęt-

ne. Polska nie uważa i nie chce uważać Bałtyku za swoją własną arenę, za „mare nostrum”, ale nie może też dopuścić, by stał się areną jednego z mocarstw. Tylko współpraca Polski z krajami skandynawskimi i bałtyckimi zapewnić może wszystkim tym krajom bezpieczne uprzedzenie dołgiemu pod warunkiem jeszcze uzyskania dostatecznych gwarancji wolności, cisłnin i Kanalu Kilońskiego.

Druga przesłanka naszego stosunku do państw bałtyckich, to ich geograficzne z nami sąsiedztwo, położenie na tym samym międzyomorzu i pomiędzy tymi samymi mocarstwami, których tendencje zaborcze w równym stopniu nam jak im zagrażają. Gdy się ma jednego, a tym bardziej dwóch sąsiadów bardzo groźnych, to się jest skłonijemy tym silniej cenić sąsiadów mniej groźnych, szukając wspólnego bezpieczeństwa.

Trzecia przesłanka, to narzucająca się solidarność wszystkich krajów, mniejszych i większych, ale nie należących do grona światowych imperiów, wobec dążenia tychże imperiów do podziału świata na strefy wpływów i traktowania wszystkich pozostałych narodów jako drugiej klasy, której w najlepszym wypadku należą się „siedziw narodość”, o ile którejś z mocarstw nie zechce zaopiekować się ich ludnością w sposób, bardziej intymny.

Dalsze przesłanki, to wspólnie przeżyte okresy „dziewięć, analogie struktury społecznej i kultury, a więc przesłanki natury raczej sentymentalnej, oddziaływujące zresztą silnie na nas niż na tamte narody. Ie. rola jest dziś podrzędna wobec rozsadnej potęgi przesłanek rozumowych.

Wynikają z tych motywów następujące stwierdzenia, tak niewątpliwie, że chyba stanowic dla nas trzymy:

1) Uznajemy w pełni prawo każdego z narodów bałtyckich do posiadania własnego suwerennego państwa w granicach sprzed marca 1939 r. (reokupacja Kłajpedy przez Niemców) z tą poprawką, że do Litwy powinny być włączone zamieszkałe przez Litwinów wschodnie obszary Prus Wschodnich.

2) Zakusy ograniczenia sił suwerenności krajów bałtyckich albo okrojenia ich terytorium uważamy za skierowane przeciw Polsce.

3) Dążymy do oparcia bezpieczeństwa Europy na ścisłej współpracy narodów potężnych pomiędzy Bałtykiem i Morzem Egjejskim w formie dobrowolnego związku państw o równych prawach; udział w tym związku państw bałtyckich uważamy za konieczny.

4) Gdyby państwa bałtyckie z tych czy innych powodów na razie odmawiały wejścia do związku, Polska będzie się starała zachować z nimi jak najserdeczniejsze stosunki sąsiedzkie z nadzieją późniejszego przekonania ich do współpracy, ale ze stanowczym wyrażeniem się stosowania przysmu.

5) Uważamy za konieczne już dzisiaj jak najściślej porozumienie się z narodami bałtyckimi dla natychmiastowej wspólnej obrony zagrożonego bytu tych narodów i narodu polskiego.

Odpowiedzi redakcji

Wact. Post. Nadesłane fragmenty stanowią przykład poprawnej realizacyjnej prozy, zwłaszcza „Na czerunowym”. Aby jednak stały się samodzielnyimi utworami literackimi — brak im wyrażniejszej potępy. Czyta się z zainteresowaniem, ale w oczekiwaniu, co za ten tym dobrze odmalowanym (le autor umięścił. Może to oczekiwanie zosłaje zaspokojone w całości utworu, ale nie znajdując zaspokojenia w żadnym z nadesłanych fragmentów.

Art. M.cki. Rozumiemy, że nieco ponury nastrój ostatnich Pana wierszy „Maj uchodźczy” i „Śpiewaj mi ziemię” jest wynikiem zrozumiałej reakcji po przytyłych wstrząsach, nie chcielibyśmy jednak wpaść w jednostronność tego nastrój. Te wiersze są zresztą szczerze i ładne, więc je zamieszczy.

Miecz. J.ski. Ani ta proza, ani te wiersze nie trafiły nam do przekonania. Nie skorzystamy.

Strz. Włodz. J.w. Serdecznie dziękujemy za tak miły dla nas list. Zyczenia Pana redakcja w pełni docenia i podziela, ale wiadomości stanął i otrzymujemy niezmiernie rzadko. O ile czegoś nowego się dowiemy, nie omisszamy podzielić się z czytelnikami.

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

O PAMIĘTNIKARSTWIE

Pamiętniki można pisać po to, żeby ich nikt nie czytał, lub po to, aby je czytał wszyscy. W pamiętnikach można pisać tylko o sobie, lub też o wszystkim z wyjątkiem siebie samego. Pamiętnik można prowadzić systematycznie, wpisując codziennie nowe obserwacje i przeżycia, lub też u schyłku życia, oznaczając każdy fragment kompozycyjną inną datą. Pamiętniki pisują ludzie po to, żeby coś lepiej zapamiętać, albo też po to, żeby o czymś lepiej zapomnieć. W pamiętnikach można znaleźć jedyny, bo na gorąco odcisnięty ślad prawdy, ale też i jedyne, bo na zimno skonstruowane kłamstwo. Pamiętnikarce brują i szczerzy, aż do nieprzyzwoitości, i obłudni aż do nieprzyzwoitości. Pamiętnik może być dokładną fotografią, z której łatwo rozpoznac rysy piszącego i najbardziej futurystycznym portretem, który bardzo niewiele ma wspólnego z modelem. Najlepiej tedy jest czytać pamiętniki zwracając uwagę na wszystko to, co napisane piętami, a pomijając wszystko, co wyolbrzymione w kursywie. I zapamiętać wszystko to, o czym autor chciałby zapomnieć, a zapomnieć o tym wszystkim, o czym chciałby w wieki utrwalić. Ta ostatnia uwaga dotyczy tylko pamiętników przeznaczonych do druku.

Wynika więc z tego, że pamiętnik jest w stopniu znacznie wyższym niż powieść formą rozrywkową ekshibicjonizmu. Gdy jest mało ludzi, którzy odchodząc od nas mają odwagę odsłonić nam prawdę swego życia. Jest natomiast dużo takich, dla których pamiętnik stanowi coś w rodzaju dyskretnie przemycanej makiety własnego pomnika.

Już z pobieżnego zestawienia tak wielu możliwości pamiętnikarskich widać, że to, co zwykliśmy określać mianem pamiętników, nie jest literaturą jednorodną, ale zmienia się zależnie od intencji i założeń pisarskich autorów. Tak jest w istocie. Nieporozumienia w tym zakresie sięgają tak daleko, że nawet wspomnienia i nazywane bywają pamiętnikami, jeśli tylko kompozycyjnie zbliżone są do tego typu pisarstwa. Oczywiście każdy autor wie, że oznaczając poszczególne fragmenty swych wspomnień nazwami dni, miesięcy lub nawet lat nadaje całoci tak bardzo upragniony posmak pseudopodobeństwa i świeżości, ale każdy czytelnik powinien również pamiętać, że proces wspomnienia jest różny od procesu natychmiastowego, odruchowego niejako notowania przeżyć, że nonsensem wydaje się zaliczanie tego rodzaju literatury do pamiętnikarstwa. Retrospektywność, regresja pamię-

ci pierwszym sposobem posługują się politycy walczący, drugi utarł się już jako dobre prawo polityków dymisjonowanych. Łatwo wskazać na „Księgę moich rozczarowań” Mackiewicz, lub „Blaski i nędzę zwycięstwa” Clemencau z jednej — a na łwią część spełnienia pisarskiej „ślawnych” ministrów i ambasadorów z drugiej strony *)

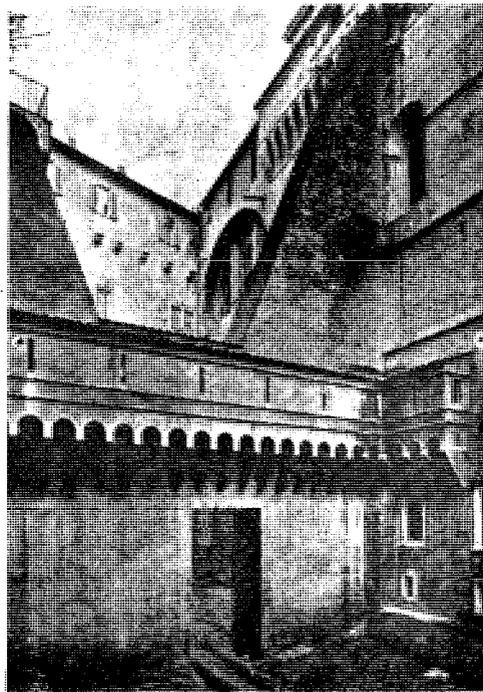
Jest jednak inny jeszcze wzgląd, który przy rozważaniu literatury pamiętnikarskiej nakazuje rozróżniać trzy jej typowe odmiany. Nazwijmy go od razu humanistycznym. Zagadnienia, które interesują pamiętnikarza, są trojakiego rodzaju. Może to więc być albo wiecznie zmienny świat własnych myśli i uczuć, najgłębiej intymny i wewnętrzny kraj, który podstawę i sens swego istnienia czerpie z postulatu bezwzględnej szczerości wobec siebie samego. W pozostałych dwóch wypadkach bezpośrednią podniętą do pisania pamiętników jest albo chęć utrwalenia swych związków towarzyskich, politycznych i społecznych — to, co w historii literatury znane jest pod nazwą obrazu środowiska lub nawet epoki — albo też nie poza próbą beznamiętnego zapisu własnego życia w całej szarości i zwykłości dnia powszedniego. Oczywiście trudno tu mówić o jakimś klasycznie czystym podziale. Często nawet trudno powiedzieć, gdzie kończy się spowiedź, a zaczyna się sąd nad innymi. Kiedy indziej znowu nie sposób oprzeć się wrażeniu, że sąd nad samym sobą ma uprawnie do spowiedzenia innych. Ale w każdym razie różnica między wyznaniem, właściwym pamiętnikom i dziennikami jest nie tyle różnicą metod pisarskich, ile różnicą gatunkową, żeby nie powiedzieć, różnicą temperamentalną. Co innego jest szukać siebie zagubionego w świecie. Można to zrobić wężając granice świata. Ale co innego znowu jest szukać świata zagubionego w sobie. Aby tego dokonać, należy rozszerzyć granice swego umysłu i ducha. Oto jest humanistyczny aspekt pamiętnikarstwa.

Przyjęło się uważać, że najlepsze wyznania wyszły spod piór Francuzów i Rosjan. Zamiłowanie do bezustannej introspekcji, dokonywanej z całym okrucieństwem namiętnych poszukiwań, czyni z nich jedyną w swoim rodzaju, pasjonującą lekturę. Ale nie każdy z nas jest w stanie jej poddać. Wymaga ona bowiem takiej samej odwagi intelektualnej, jaka niecierpliwych tylko pisarzy skłania do pograżenia się w odmętach najbardziej nietykalnych i osobistych wzruszeń. U kresu takiej podróży proporcje właściwego świata zmieniają się gwałtownie i

genialnej obłudy. Ten ostatni punkt widzenia zdaje się podtrzymywać Maritain w książce o „Trzech reformatorach”.

Wśród niezliczonych wątpliwości moralnych dostrzegł Gide, zastępując uwagę w najdrobniejszej poruszenia swego duszy, zagadkowe i wyjątkowe piękno imoralizmu. Jego „Spotkanie z Oskarem

przysmak dla krytyków rozmiłowanych w filozoficznej diubanie. Takim artystycznym opracowaniem pamiętnikiem jest właśnie cała „Komedia Ludzka” Balzaka. Kiedy indziej znowu pamiętniki zawierają esnny, choć ukryty materiał socjologiczny i wtedy niewiadomo, z jaką odстанią bardzo nieraz istotne fakty, jest ich nai-



Zewnętrzny widok Kaplicy Sykstyńskiej

Widło w Algierze” zdnawia śmiałością w doprowadzeniu najwłaśniejszych rozterek cielecnych do krańców ich wytrzymałości intelektualnej. Jest taka chwila, kiedy zło uskrzydlenie uwodzieleńskimi pięknościami polceykami traci na mglenie oka swój chorobliwy blask i wzbija się na poziom najwyższego zachwytu. Ale nieszczęśliwie rosyjski „askatel” Dostojewski nie jest w stanie przekroczyć tej granicy. Szukający dla samej przyjemności szukania, zawsze w próżni pomiędzy uczuciami wiary i negacji, żeby ostatecznie z rozpaczą w sercu powiedzieć, że nienawdzi Boga w takim samym stopniu, jak Go się boi i podziwia. Często bywa tak, że gdy po skończonej nocy sliżą się niemiłmo po śpiących jeszcze ulicach, zagląda również do skrywającej nocne brudy kałuży. Nie przestaje przez to być słonecznym, chociaż kałuża wygląda przez chwilę niby rozmiotany w porannym świetle strumień.

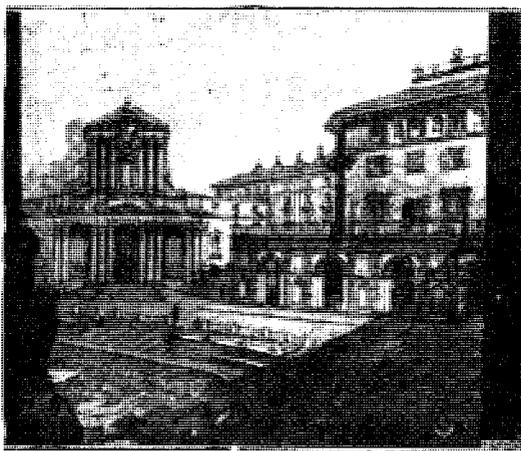
Najtrudniej określić granicę oddziałującej zwykłe pamiętniki od realistycznej powieści obyczajowej. Zagadnienie tak pojętej pamiętników jest zagadnieniem wzorowej kompozycji i rozumnego doboru materiału. Nie wszystko, co się dokona nas w życiu działo, jest równie interesujące. Stąd grzechami głównymi pamiętników bywają najeśniej: nadmiar blabych szczegółów i chaotyczność ujęcia. Dzieje się to wtedy, gdy ich autorzy nie potrafią stanąć na wysokości roli, jaką im życie łaskawie wynaczyło. Dobrymi przykładami takich złych pamiętników są „80 lat życia politycznego i towarzyskiego” Bohdana Hutten-Czapskiego, a także „W pogoni za pełnią życia” komiwojażera, impreziana, przyjaciela sławnych mężczyzn, kolehanka i powiernika głośnych kobiet, Franika Harris.

Z drugiej strony, niekiedy utwór powieściowy ma charakter gigantycznych pamiętników i stanowi wówczas nieład

większy zaletą. Młodzi adrepi socjologii z zamiłowaniem studiowali przed wojną „Pamiętniki chłopów”. „Pamiętniki bezrobotnych”, lub też „Młode pokolenie chłopów” opracowane przez dr Chałasińskiego na podstawie materiałów, dostarczonych przez rozpisany wśród młodzieży wiejskiej konkurs na najlepszy opis życia.

Do wyjątkowo interesujących wniosków doprowadzają nas analiza trzeciej odmiany pamiętnikarstwa: dzienników. Okazuje się, że szczególnym powodzeniem cieszą się one wśród piszących kobiet. Na pierwszy rzut oka trudno powiedzieć dlaczego. Zdarzało się, że chodzi tu tylko o ów specyficznie kobiecy pociąg do szczegółów, o magię drobiazów i troskę zmysłowe upodobanie do wyrafinowanego, a jak że jałowego rozszepiania na najdrobniejszą włókienka zdarzeń nie znaczących. Jest to zapewne główny powód, dla którego nie można bez uczucia rozdzielenia czytać Natkowskiej, a który jednocześnie, prawem kontrastu, niezapomnianą czyni lekturę „Dni i nocy” Marii Dąbrowskiej. W wypadku dzienników wchodzi w grę inny jeszcze czynnik. Mam na myśli ową bluzszewatość, z jaką kobiety — żony lub sekretarki wielkich mężczyzn — snują się w cieniu życia swych sławnych mężów i szefów. Nie jestem miłośnikiem tego rodzaju pisarstwa i mam bardzo niewiele sentymentu dla Piłsudskiego takiego jakim ukazują go Hlaskowskiego, dla Conrada z zapisków Jessie Conrad, lub Kasprowicza z kart „Dziennika” Marii Kasprowiczowej.

Wszystko to sprawia, że pamiętnikarstwo najczęściej może odpowiadać pojęciu literatury mieszczańskiej. Często wadzi się z życiem, często tylko je opisuje, lecz niekiedy tylko usiłuje nadać mu inny, doskonały kształt. Pamiętając tedy, że rozwiązywanie problematyki pamiętnikarstwa poruszamy się niejako na peryferiach prawdziwej sztuki.



Plac Trevi w Rzymie

ciowa mają zawsze to do siebie, że ujmują ludzi i zdarzenia jak gdyby po raz pierwszy, przez pryzmat późniejszych wypadków i doświadczeń. Zależnie od talentu i inteligencji autorów mogą one więc być albo zupełnie nowym i oryginalnym ujęciem przeszłości, albo też nieznosnymi indeksami wyjaśnienia, sprostowań i korektur. Gdy w pierwszym wypadku mamy najczęściej do czynienia z rozmyślnym samoskarżeniem, drugi stanowi na ogół rodzaj samoobrony. Nie trzeba zatem dodawać, że gdy

o „Wyznaniach” Rousseau można z równym powodzeniem powiedzieć, że są produktem brutalnie szczerzej i rozbijającego naiwnej autoopsji, jak i to także, że stanowią jedyną w swoim rodzaju przykład

*) Obowiązek uczciwości wzbrania wszakże uważać za twierdzenie za ogólnie obowiązujące. Są wypadki, kiedy więzy tzw. dyskrekcji dyplomatycznej krepują polityków silniej, niż chęć przygotowania sobie cokułu pod marmurowe popiersie.

SOWIETY MIĘDZY WSCHODEM A ZACHODEM

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

„Lato tegoroczne może przynieść wydarzenia decydujące — to zdanie sięgamy ostatnio z ust wszystkich niemal rządów stanu — od Waszyngtonu poprzez Tokio i Moskwę po Berlin i Londyn. Premier Churchill — tak zwykle ostrożny w przepowiedniach — dał wyraz przekonaniu, że „miesiące letnie mogą dzięki zwycięstwom obecnej kampanii sprzymierzonych przynieść pełny sukces sprawie pokoju”. Premier fiński Linkoinen oświadczył: „Wielka wojna, która trwa już tyle lat, zupełnie wyraźnie wchodzi w fazę decydującą; przemęczenie daje się zauważyć nie tylko u matych, lecz także u wielkich narodów. Dzień powszechnego pokoju chyba już nie jest daleki”.

Od chwili, gdy stało się rzeczą jasną, że Anglosasi zdołają skonsolidować przywrócić utworzony na kontynencie europejskim, wydarzenia zarówno militarne jak i polityczne przybrały tempo, wobec którego wypadki nierozległego roku wyciągają się niedługo wspomnianiem z ubiegłego wieku. Zarazem wszystkie stosunki stały się tak płynne, jak to się dzieje tylko przed wielkimi i decydującymi rozstrzygnięciami. Niemcy, wzięci w obegę od południa i zachodu, łatają swoje zerwany jak mogą (na front włoski przetrucano świeże dywizje z zagrożonej inwazją Belgii i z niemieckich zagrożonych Bałkanów, a także z Danii), a równocześnie z determinacją osaczając zbrodniarza oczekują ciuś, którego spodziewają się od Wschodu. Ruchy armii czerwonej na odcinku fińskim Niemcy bagatelizują na razie, choć nie wiadomo, czy — gdyby się okazało, że — po zajęciu Wyrboga wojska sowieckie ruszą nie na północ, ale na południowy zachód, tu, ku Bałtykowi — i gdyby równocześnie nastąpiło oczekiwanie w Berlinie uderzenia na frontie baltorskim — czy wówczas mieliby jeszcze powód uważać obecna ofensywa sowiecka za wydarzenie o mniejszym znaczeniu.

Front włoski szczybić, niż przypuszczano w niemieckich kołach wojskowych, przesuwają się na północ i zatrzymują się — jeżeli trafnie są obserwacje lotników alianckich — dopiero na nowej linii oporu biegnącej od Pizy do Rimini. Gdyby tymczasem nastąpiła druga ciężka inwazja (Niemcy obliczają, że w Wielkiej Brytanii zgromadzone są siły, którymi można wykonać jeszcze drugi desant niemieckich od pierwszego), włąpłymi się stanie, czy Niemcy będą mogli nadal zasilać Kesselringa posiłkami.

Przełom na Dalekim Wschodzie?

Równocześnie dokonują się poważne przeobrażenia na Dalekim Wschodzie; z jednej strony Japończycy wszczęli wielką ofensywę w Chinach (zajeli Czangszę), a z drugiej Amerykanom udało się wciągnąć flotę japońską z krzywką (prawdopodobnie na atolu pacyficznych Truk) i zmusić ją do przyjęcia bitwy między archipelagiem Marianskim a Filipinami (na zachód od zaatakowanej świeżo przez amerykańskie siły lądowe wyspy Saipan). Od wyniku tej wielkiej bitwy morskiej zależy bardzo wiele, może się ona stać decydującą dla wojny na południowym Pacyfiku i może oznaczać otwarcie nowej fazy w wojnie z Japonią. Amerykanie zdolali ponadto wyjść z impasu lotniczego, w jakim utrzymywali ich brak baz lotniczych w pobliżu wysp japońskich i dokonali kilku wielkich nalotów bombowych na samą Japonię. Gdyby te nowe osiągnięcia amerykańskiego lotnictwa strategicznego okazały się trwałe i gdyby Flota japońska została zniszczona — sprzymierzeni mogliby marzyć o wygranym wojnie z Japonią bez pomocy Sowietów. I, bez baz lotniczych na zachodnich wybrzeżach Morza Japońskiego (Władawostok) i na Kamczatce. Wtedy też obecne sukcesy japońskie w Chinach mogłyby się okazać daremne.

Wojna obecna, która jeszcze dwa lata temu toczyła się o cztery kontynenty: Europę, Afrykę, Azję i Australię, przy czym w r. 1941 liczone się poważnie z możliwością przeniesienia jej na zachodnią półkulę — stała się ostatnio wojną o wielki kontynent eurazjatycki. Ale — z wyjątkiem Francji i Włoch — wszystkie siły angielskie, amerykańskie i rosyjskie nie tylko nie zmalały, lecz wzrosły bardzo znacznie. Wzrost ten odbył się kosztem szeregu narodów europejskich, wielkości mocarstwowej Francji i Włoch, a także kosztem Niemiec, które stoją na brzegu przepaści i kosztem Japonii, która wsunęła się między wielkie mocarstwa zrywając z początkowej słabości sprzymierzonych i włączyła się do polityki, a obecnie słabnie w miarę, jak się siły alianłów rosną.

Nowa „Liga Narodów”?

Klęskę Niemiec uważa się dziś powszechnie za pewną. Anglosasi uznali, że Niemcom należy się pierwszeństwo przed Japonią i tym też tłumaczy się, że postanowili z wszelką ceną utrzymać koalicję, która tę klęskę może przyspieszyć i uczynić

niechybną. Wielkie zjazdy rządów stanu w Casablance i Quebec były poświęcone wzmocnieniu pozycji Anglosasów w tej rozgrywce. W Casablance ustalono plany, w wyniku których odpady Włochy, a w Quebec uzgodniono zostały działania anglo-amerykańskie, które miały na celu zniszczenie przemysłu niemieckiego i przygotowanie inwazji na kontynent, podczas gdy konferencja w Teheranie służyła uzgodnieniu zamiarów Anglosasów i Sowietów wobec Europy.

W tym samym optymistycznym oświadczeniu, które już cytowaliśmy, Churchill stwierdził, że z zamiarów tych nie wszystkie jeszcze zostały wykonane, ale że wprowadza się je w życie stopniowo. I tu premier brytyjski sformułował deklarację niezmiernie wagi; powiedział mianowicie: „czy pełny sukces sprawy pokoju osiągnięty zostanie w tym roku, czy w następnym — narody brytyjski i amerykański nigdy się nie zachwieją i nigdy nie wycofają się z zadań, których się podjęły”. Co więcej, Churchill określił te zadania bliżej i stwierdził, że u czynione zostały wysiłki, by „osiągnąć stałą współpracę i stworzyć organizację, która po tej wojnie mogłaby utrzymać pokój”. „Państwa w przyszłości — powiedział premier brytyjski — w której prawa mniejszych narodów będą utrzymane i chronione i w której silni udyją swojej siły w wykonaniu prawa — dla ochrony słabych”.

Deklaracja ta zbiega się z oświadczeniem Roosevelta i Hulla w sprawie projektowanego przez Stany Zjednoczone systemu światowego bezpieczeństwa, który do złudzenia przypomina Wilsonowską Ligę Narodów. Ponieważ Churchill wielokrotnie wypowiadał się na rzecz organizacji międzynarodowej w typie Ligi Narodów — można przyjąć, że projekt amerykański zostanie przez Anglików zaaprobowany. Niejasne jest jeszcze tylko stanowisko Sowietów.

Słowa Churchilla o zdecydowanym zamiarze narodów anglosaskich niewycofywania się „z podjętych zadań” należy więc rozpatrywać pod kątem widzenia tych planów. Możemy uznać, że to nie nieznaczący dopóki Sowiety nie przystąpią do projektowanego przez Anglosasów systemu, ale nie możemy przeczyć faktu, że dokonuje się w tej chwili ujednolicenie postawy wielkich mocarstw anglosaskich wobec zagadnienia, które będzie się stało coraz pilniejszym. Niemniej jednak musimy wziąć także pod uwagę, co dla nas w obecnych, tak zmienionych w stosunku do dwudziestolecia międzywojennego warunkach — oznacza odbudowanie systemu Ligi Narodów. Jeżeli anglosasi niezmownie staną podkrośnią, że Liga Narodów była wadliwym narzędziem współpracy międzynarodowej, bo nie popierano jej szczerze i jeżeli przystąpią się układowi mocarstw, który odgraża w nowym systemie Ligi Narodów rolę decydującą, to trudno nam będzie powstrzymać się od obaw, czy błędnie starej Ligi Narodów przez nową nie będą podporządkowane.

Kryterium „szczeroci”

System Ligi Narodów na pozór wyklucza tzw. „strefy wpływów”. To znaczy, wyklucza je, jeżeli wielkie mocarstwa będą Ligę Narodów popierały szczerze. Jak dotąd, wszystko zależy od Rosji; jej zdanie ma oprócz swoje bezpieczeństwo na systemie międzynarodowym, czy też będzie wolała posłużyć się metodą tworzenia „stref wpływów”. Poważny tygodnik londyński The Economist przyjmuje, że należy liczyć się raczej z tą drugą możliwością. „W Europie wschodniej Rosja uważa siebie za jednego executora, chociaż dopuszcza konsultowanie innych sprzymierzonych. Taka konsultacja miała miejsce w wypadku Finlandii i Rumunii. W obu wypadkach — ze względu na niebezpieczeństwo — inicjatywa i odpowiedzialność przypadły Rosji. W sprawie polskiej Rosjanie oficjalnie odrzucił wszelkie sugestie alianckiego pośrednictwa”.

Włochy stały się pretekstem do ujawnienia przekonania Sowietów, że powinny być w sprawach tego kraju konsultowane przez Anglosasów. Izw wstąpił stwierdził, że Anglosasi postępują tak, jakby uznawali Włochy za swoją „wyłączną strefę”. The Economist uważa to twierdzenie za przesadne, chociaż przyznaje, że Komisja Doradcza dla Włoch (w której zasiadała także Rosjanie) okazała się najbardziej mało skuteczną, „a wpływ jej na wewnętrzny sytuację Włoch był bardziej niż słaby”. Istotne jest jednak, że Rosjanie w ten sposób „złożyli odpowiedziałność za politykę „względnie wpływów na Anglików i Amerykanów”.

„Wszystko to — konkluduje The Economist — odzwierciedla zamęt, jaki panuje w polityce alianców. Wydaje się rzeczą bardzo pożądaną, by sprawy te zostały ostatecznie wyjaśnione. Jeżeli miały istnieć wyłączne strefy wpływów — należy to powziąć otwarcie. Jeżeli natomiast strefy

wpływów nie mają istnieć — niech nie będzie wyłączone nigdzie — ani we Wschodzie ani w Europie wschodniej”.

Polski „probiere”

Od czasu, gdy tygodnik londyński publikował te zdania, zaszyły wypadki polityczne, które jasno wskazują na istnienie „stref wpływów”. Wykazaliśmy to w poprzednim przeglądzie wydarzeń. Na tym tle lepiej zrozumiemy okoliczności i ewentualne skutki rozmów, jakie w Waszyngtonie przeprowadził premier Mikołajczyk. W wydanych przez oficjalne czynniki amerykańskie komunikatach nie znajdujemy nic, co potwierdzałoby przypuszczenie, że słomy wobec nas — tym razem udanej — próby mediacji amerykańskiej w konflikcie polsko-sowieckim. Mamy do czynienia jedynie z ofertą polską, i z wyraźnym gestem amerykańskim pod adresem Sowietów, by się tą ofertą zainteresowali.

W ten sposób sprawa polska raz jeszcze staje się „probiere”m stosunków między Anglosasami a Sowietami. Śledzenie przebiegu tej sprawy może być dla postromnych obserwatorów niezmiernie interesujące, tym bardziej, że z radia moskiewskiego wiadomo już dosyć dobrze, jak Sowiety zamierzają tę sprawę rozstrzygnąć. To co się obecnie dzieje, jest rzeczywiste — by zacytować Adolfa Bocheńskiego — „zacieraniem różnic między tymi, którzy chcą porozumienia z Rosją, a tymi, którzy chcą unii z Rosją”.

Na tym tle nabiera swego znaczenia wizyta, jaką złożył premierowi polskiemu w Waszyngtonie P. Oskar Lange, b. były wateł polski i „patriota”. Jak podaje radio Londyn, poinformował on premiera o swojej podróży do Rosji, o przeprowadzonych tam rozmowach oraz o stanie tamtejszej armii polskiej i sytuacji naszej ludności. Tematy te żywcem przypominają raport konsula generalnego lub nawet posła. Lecz jak wiadomo, Polska nie ma w Rosji ani jednego, ani drugiego. Znajdujemy się więc na razie w stadium, gdy zmuszeni jesteśmy — a może nie zmuszeni — godzić się, by obywatela obcy samorzutnie brali na siebie rolę ambasadorów Rzeczypospolitej.

Lecz wracając do poważniejszego aspektu tej sprawy, możemy przyznać, że postromni obserwatorzy — a więc nie zainteresowani tak bardzo honorem i interesem własnym jak my — muszą śledzić sprawę polską w obecnym jej stadium nie tylko z „wielką uwagą ale i z ciekawością”. To przecież na tej sprawie, jak temperatura koła na termometrze — odczytywać można stopień dobrej woli panującej w zbiorniku zwanym obozem narodów zjednoczonych. Niewątpliwie, to nie jest probierek jedyny, ale w tej chwili zapewne jeden z najbardziej widocznych. Jeżeli Rosja przyjmie sugestie amerykańskie i jeżeli będzie układać się z rządem polskim, który wszakże tak bardzo pragnie ugody z Sowietami — jeżeli następnie będzie przywołał na to, by Polska otrzymała warunki tylko odrobinnie mniej korzystne niż te, jakie oferowano (z Moskwy) satellicie „osi” — Finlandii — to jakież ponętne perspektywy współpracy otwierają się przed narodami zjednoczonymi! Oznacza to przecież będzie, że Sowiety godzą się na konsultowanie Anglosasów w sprawach dotyczących „wyłącznej strefy sowieckiej”. Oznacza to będzie znów z kolei, że Sowiety będą miały prawo żądać, i że zapewne przyniż im się to prawo, by w drodze wzajemności Anglosasi konsultowali Moskwę w sprawach swoich „wyłącznych stref”, więc np. w sprawach Francji, Belgii, Holandii, a może Meksyku.

„Probiere” Dalekiego Wschodu

Przebiegając przez Rosję, a zwłaszcza przez Sybir w swej podróży do Czungkingu, wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Wallace wpadł niemal w taki sam zachwyt nad osiągnięciami sowieckimi w Azji, jak przed nim pp. Davis i Wilkitt. Uwadze p. Wallace'a nie uszły również podobieństwa, jakie zachodzą między Rosjanami a Amerykanami. P. Davis stwierdził już kiedyś, że „Rosjanie wyglądają jak Amerykanie, żyją jak Amerykanie i myślą jak Amerykanie”. P. Wallace jest podobnego zdania.

P. Wallace dostał się do Chin przez Rosję, a więc od strony, która normalnie uchodziła za „tylną drzwi” Chin. Wiceprezydent USA nazwał je jednak „nowymi drzwiami frontowymi”. Wytłżył jego ma na celu znalezienie sposobów wzmożenia pomocy dla Chin i przyspieszenia klęski Japonii. Jeżeli w związku z takimi zamiarami

*) Zob. artykuł pt. „Polska w polityce Stalina” w nr 17 (107) „Orła Białego”.

rami jechał przez Rosję — nie jest to bez znaczenia. To przecież Rosja zarzuca Czungkingowi, że bije się w ręce z Komunistami w Sinkiangu niż z Japończykami; że Cziang-Kai-Szek rządzą Chinami jak totalistyczny dyktator. Zarzuty te brzmią, jak gdyby wypływały z troski o niedosć szybkie postępy w wojnie z Japonią. Inaczej ocenia te rzec „The Economist”, który zajmuje się tą sprawą obszernie. „The Economist” rozważa pytanie, czy słuszne jest powszechne przypuszczenie, że „po wojnie z Niemcami Rosja przyłączy się do wielkiego przymierza Chin, Anglii i Ameryki i pomoże do szybkiego pokonania Japonii. Ludzie widzą w nieobecności Rosji na teatrze daleko — wschodnim jedynie usprawiedliwioną koncentrację uwagi i sił na wojnie z Niemcami”. Lecz interwencja sowiecka w wypadkach, jakie zaszły na granicy Zewnętrznej Mongolii i Sinkiangu, pozwala wnosić, że „potwierdzając fakt odrodzenia się jej polegi na Dalekim Wschodzie, Rosja widocznie gotowa jest użyć jej przynajmniej w takim samym stopniu przeciwko Czungkingowi, co przeciwko Tokio”.

Pismo analizuje stosunki Rosji z Japonią i Chinami na przestrzeni ostatnich 40 lat i dochodzi do wniosku, że „byłoby Rosją... połączając się ze sprzymierzonymi, by przyspieszyć klęskę Japonii... lecz w historii ostatnich 20 lat nie ma nic, co by zmuszało do przypuszczenia, że będzie tak na pewno”. Rosja raczej zeche izolować się i czekać, aż będzie mogła „zadać Japonii coup de grace” dobiek konającą, co więcej, wobec Chin Sowiety zajmą stanowisko takie, że „poprzą rząd, który zapewniłby Sowietom wpływy w Chinach, nawet gdyby to miało uniemożliwić zjednoczenie Chin”.

Pismo sądzi, że takiej polityce nie można z punktu widzenia interesów rosyjskich nie zarzucić i że „nie byłoby rozwiązaniem konfliktu, gdyby powiedziano, że wszystkie mocarstwa winny poprzeć rząd chiński, skoro wydarzenia w Mongolii wskazują na możliwość, iż jeszcze przed końcem wojny nie wszystkie mocarstwa będą uznawały ten sam rząd chiński”.

„The Economist” wyciąga stąd wniosek, godny najwyższej uwagi: „Zasadniczym warunkiem ułożenia się z Rosją jest, by mocarstwa zachodnie zrozumiały powody i motywy polityki sowieckiej. W Europie dyplomacja anglo-amerykańska była zmuszona do ambarasujących ustępstw w niektórych wypadkach — i zapewne będzie zmuszona jeszcze do dalszych — a to z powodu przyjęcia bezpodstawnego założenia, że Moskwa pragnie dokładnie tych samych rzeczy, co Londyn i Waszyngton. Nie należy powtarzać tego samego błędu na Dalekim Wschodzie”.

Możemy tylko zapytać, dlaczego mielibyśmy ten błąd powtarzać nadal w Europie?

Niedoceniony sojusznik

Publicyści anglosasor coraz częściej zajmują się pytaniem, jaka forma rządów będzie najlepiej odpowiadała wyzwolonymi narodom europejskim. Wszyscy zgadzają się, że Europa nie wróci do form przedwojennych, ale wszyscy polepiają ten sam błąd — sądzą, że rewolucja dokonująca się w podziemnych Europie musi być rewolucją bolszewicką. Jest to błąd perspektywiczny, pochodzący z przeceniania przez Anglosasów ich własnego ustroju, a równocześnie z niedoceniańia przemian, jakie zachodzą w ich własnych krajach. Ten błąd myślowy stwarza niepotrzebnie nieporozumienia między narodami Europy a Anglosasami i sprawia, że są oni skłonni zupełnie fałszywie oceniać pomoc, jaką mogą po wojnie uzyskać w narodach europejskich.

Musimy pocieszać się nadzieją, że w miarę, jak Anglosasi zaczęą doceniać znaczenie europejskich ruchów podziemnych — a zwłaszcza tych, które zrodziły się w niewyczerpanej energii samych narodów europejskich i nie zostały powołane do życia przez obcą interwencję — dla sprawy wygrania wojny z Niemcami, uświadczając im się też rolę, jaką narody europejskie będą mogły odegrać po wojnie w systemie kolaboracji z wielkimi demokracjami. Anglosasi rozumiemy wtedy także, że wszystko, co myśleli o Europejskiej Niemcy jeszcze były groźną, było fałszywe i niedawano narodom europejskim sprawiedliwości. Anglosasi patrzą na Europę wzrokiem zamgłonym lękami i nie mogą zrozumieć spojrzeń narodów europejskich, zwróconych ku nim z nadzieją.

M. R.

POVERA EUROPA

Gdyby tak czeresz zaprzyjaźnił, kiedy z nas odpowie. Be jest wątkowie nieco we Włoszech zakochany. Zżyliśmy się z już z ludźmi, język nasz im się podoba. Kiedy takie maleńkie bambino sylabizuje pikliwym głosem z elementarną „una farfalla na graziosa”, kiedy z ust ładnej dziewczynki usłyszysz się „perche tu mi piace”, znikają pretenzje, którym przedwojenna jeszcze Europa nabrzmiewała w swym zaśpieniu, znika wroscie w plastikach i ustach dzieciaków dobre wielokobryjska czekolada, której smaku bodajże już od Taranto nie pamiętam...

Czekolada zaczęła przysiać i choć sama znika, przysiać zostaje. Chcielibyśmy podtrzymał te węzły, zadzierzgnięte przez obie strony z prostej potrzeby serca. Kiedy zjawiliśmy się we Włoszech, śnieg leżał na górach i kominke domowy stał się arką przynieżna między „zwycką” armią polską a „pokonanym” narodem włoskim.

Biedni byli ci nasi gospodarze, bo jeszcze na długo przed wkręceniem wojny na półwysep, za tzw. dobrnych czasów, człowiek musiał tu ciężko borykać się z losem. Niemieckie rabunki, zniszczenia, przychodzące i odchodzące dźwięki dokonywały reszty — nędra pisała w domu. Dzieciaki podziwiają ostatnie buty, a porcja spaghetti stawała się niemal nieosiągalnym marzeniem. Zawsze jednak znalazła się szklanka wina i trochę owczego sera na skromny poczęstunek, gdy zjawiał się polski żołnierz.

Z początku konwersacja szła nam kulawo i zdarzało się nieraz, że nie mogliśmy się zrozumieć wzajemnie. Ale i z tym uporał się po jakimś czasie. Za dużo było wspólnych trosk i obaw, aby nie znaleźć także i wspólnego języka. Nie wiem, jak już łepym trzeba być, aby patrzeć na zrujnowane Benecenia czy Cassino nie skojarzyć tych ruin z Radzymiinem czy Siedlami. Widok głodnych i obdartych dzieci włoskich był tylko zapowiedzią obrazu naszych kochanych i bliskich w Polsce.

Nadzieje pokładane przez zbiedzoną ludność włoską w tzw. Allied Military Government są nadziejami naszych rodaków, wierzących, że niech tylko wojna się skończy, a Ameryka i domniała brytyjskie zasypią nas mąką, tuszami i odcieżą. Po woli weszliśmy w drobne kłopoty naszych przyjaciół odnajdując w nich swoje własne. Tak się złożyło, że ani interes, ani rozsadek, lecz serce miało tu najwięcej do powiedzenia. To serce zwrócono nam z nawiązką. I choć Włoch z natury uprzejmy jest dla wszystkich, to w uśmiechu, jakim wita nas ulicy i w domu żołnierza Polaka jest coś braterskiego. Niedawno, po powrocie z Cassino, żołnierze nasz pojechali do Forli, którą opuścili sześć tygodni temu. W miasteczku zapanował nastrój świąteczny.

W Iserni, gdzie ciekawie się spędzali swoje urlopy, w chwili odjazdu, kiedy już żołnierze siedzieli na wozach, a silniki puczone zostały w ruch, wszystkie balkony zapelnily się ludźmi, jakieś ręce machały zapamiętane, a jakieś usta wołały „arrivederci Janek”, „arrivederci ragazzi”.

W miarę, jak sytuacja szarego człowieka we Włoszech pogarsza się i płacze, coraz częściej słychać zdanie: „Povera Italia”. A po chwili, patrząc na nas: „Povera Polonia”. Wreszcie, po krótkim namyśle, słowa ostateczne: „Povera Europa”.

Dzisiaj, kiedy ponad zgłębiliśmy, ponad sukcesy orga wybija się pytanie: „Do czego mierzymy i co nas czeka?”, coraz silniej gruntuje się świadomość jednolitej europejskiej w przyszłości. Jakikolwiek los spotka Niemcy, nie zmieni to faktu, że przeciwny Polak, przeciwny Rumun, Węgier, Francuz i Włoch przez długie lata cierpieć będą skutki tej wojny. Europa, ta skłócona i pękająca od sprzeczności, solidarnie przegrała tę wojnę. Jako

światowy ośrodek aktywności przestała istnieć. Jej interesy zamorskie skończyły się na długo, może na zawsze. Jej pomniki kultury zostały zdruzgotane. Przyszko o tym myśleć, ale zwycięski koniec wojny będzie przytkim przebudzeniem dla Europy.

Przemyśl w przyszłość widzimy przed nami jeszcze dużo głębszych cieni. Gdy wojna skończy się i podniecnie opadnie do reszty, znacznie wylewa się z ludzi rozpacz i gorzcy. Nikt dotkliwiej może nie odczekał tego okresu niż właśnie Włochy i Polska. W obu krajach każda prawie rodzina czeka na czyjś powrót. Przyjdzie

moment, że ci najbliżsi, wyczekiwani wrócą za drutów kolczastych, z obozów jeńców. Już dziś jęk ognia, że nie poznamy ich po okropnych przeobrażeniach dokonanych przez pięć lat niewoli. Zapewne po powrocie zagadają nalożenie im mitości, nagród i wyróżnień za przebyte dni. Co najmniej, są uprawnieni do takich dani. Ale czy my będziemy jeszcze w stanie czymkolwiek ich wynagrodzić?

„Povera Europa” — fakt ten dość trudno wytłumaczyć przybyszom za oceanu i wyspiarzom. Dobrze go natomiast rozumieją Włosi i Polacy. I dlatego, choć niedawno dzielili nas front, jesteśmy dziś związani na dobrą i złą dolę. Mamy wspólna misję ratować to, co zostało jeszcze do uratowania i w tym możemy liczyć tylko na samych siebie. Europa nie może zginąć, bo cały świat stozy się ku barbarzyństwu. Europa, ziemia stara a wiecznie młoda, musi zapłacić wyobraźni ludzkości, tak jak to czyniła przez dwa tysiąclecia. I choć gdzie indziej świat opływać będzie w dostatki, karmiony boćcem z Argentyny, pszenicą z Kanady i jajami z Nowej Zelandii, my jedząc kartofle z solą, zapomnieli, może na razie niepotrzebni systemowi światu, wierni pozostaniemy naszej roli dziejowej. Ludzkość, która potrzebuje czegoś więcej niż dobrobytu materialnego, nigdy nie zrezygnuje z wartości kulturalnych i koncepcji politycznych, których źródłem jest Europa. Świadomość ta tkwi w każdym myślącym Włochu i Polaku.

Tu dochodzimy do sedna sprawy. Lewitując już pojmujemy, dlaczego kościoły włoskie stroją się w tablicke ku czci bawakujących w miasteczku żołnierzy polskich, dlaczego wicieniak z Cantalupo dzieli się z nami ostatnią kromką chleba, i dlaczego włoskie dziewczęta mają dla Polaka ten uśmiech, na jaki daremnie czekają inni żołnierze.

Povera Europa. Biedna i nieśmiertelna.

Witold Domański



Przyjaźń włosko-polska

LINIA MIKOŁAJCZYKA

(Dokończenie ze str. 1.)

Nie inny pogląd przyjęli przedstawiciele pięcimiilionowego wychodźstwa polskiego w Ameryce. W przedcieniu przyjazdu p. Mikołajczyka uchwalili jako obywatele amerykańscy adres do Prezydenta Stanów Zjednoczonych podkreślające w nim m.in.:

„Polska ma prawo do wolności i pełnej suwerenności, prawa które zostały tak drogo nabyte i tak dobrze zastużone. Zajęcie i zatrzymanie polskiej ziemi przez wkraczające wojsko rosyjskie byłoby stworzeniem faktu dokonanego, który by zemielił się na przyszłość Europy, byłoby zaprzeczeniem całkowitym międzynarodowej moralności i sprawiedliwości. Jest to wyzwanie rzucone zjednoczonym narodom, podobne do sprawy okupacji Nadrenji przez Niemcy hitlerowskie i nie mniej brzemienne w złośliwość następstwa moralnej porażki, niż niemiecki akt jednostronny przy brutalnym użyciu siły zbrojnej”.

Kiedy zestawia się te fakty, trudno nie przyznać, że stanowisko narodu polskiego zostało jasno sprezywane, a jeśli tak to właśnie sformułowane, to nie dlatego, by naród polski kierował się zasadą „wszystko albo nic”, ale dlatego, że podobnie jak pięć lat temu, opinia publiczna w Polsce widzi w ustąpieniu w sprawie granic i suwerenności państwa to same niebezpieczeństwo co wówczas.

Trzeba przyznać, że odczuwał tę opinię p. premier, gdyż w wywiadzie swym udzielonym w „Manchester Guardian” stwierdził, że „nie można oczekiwać, by kraj, który jest dotychczas w warunkach rozpaczyliwych zmagają, mógł zaakceptować propozycje lub żądania, których przyjęcie podciągnęłoby za sobą zupełną przemianę jego społecznej, gospodarczej i geograficznej struktury”, że „zaręczyłby on żywo przeciw wszelkim próbom narzucenia mu jej” i że „w każdym razie Konstytucja stoi na przeszkodzie temu, by jakikolwiek niezależne władze polskie mogły się zgodzić na coś podobnego”.

Ale pan premier Mikołajczyk wysunął nadzieję, że naród polski zgodzi się na zmianę swych granic po wojnie, i jak sam zaznaczył, wysunął propozycje tymczasowe go rozwiązania konfliktu polsko-rosyjskiego w sposób, w którym przekroczył pełnomocnictwa polskiego państwa podziemnego, reprezentującego większość narodu, bo przecież całe społeczeństwo w kraju.

P. Stettinius oceniając propozycje p. premiera oświadczył, że „p. Mikołajczyk nie przywiózł żadnych nowych sformułowań”. Dla nas są one jednak nowe i niepo-

kojące, nie tylko dlatego, że zawierają dalsze ustępstwa, ale z względu na fakty, które im towarzyszą.

Kiedy w styczniu br. rząd polski po raz pierwszy wysunął pomysł tzw. linii demarkacyjnej, opinia publiczna protaktowała to jako żelazny i zaręczona bardzo silnie. Skoro propozycja została odrzucona przez Sowicity, można było oczekiwać, że zamknięto do dyskusję na temat granic państwa, których podawać w wątpliwość nikt z Polaków nie ma prawa.

Sądziłmyś dalej, że w ten sposób zakończone zostało upokarzające dla Polski badanie na naszym przykładzie, „dobrej woli” Rosji, jak to określała prasa angielska.

Mogliśmy przypuszczać, że opinia angielska znalazła sobie w tym samym czasie dość dużo innych przykładów dla badania tej „dobrej woli”, i to, zdawało się z tej reakcji, przykładów dość otrzewających. Sądziłmyś dalej, że jest to dobre to do przedstawienia całemu światu, o co istotnie chodzi w zamiarach Rosji, że sprawa polska nie może być traktowana w oderwaniu, a rozwiązanie konfliktu rosyjsko-polskiego zależy nie tyle od Polski, ile od Rosji.

Z ust p. premiera dowiedzieliśmy się, że sprawa linii demarkacyjnej jest nadal uważana za aktualną i co więcej w stosunku do swego styczniowego stanowiska p. Mikołajczyk poczynił dalsze ustępstwa. W swej ówczesnej propozycji zgadzał się jedy nie na to, by na wschód od tzw. linii demarkacyjnej była przejściowa administracja angielsko-amerykańsko-sowiecka, dziś jest gotów oddać te tereny polskie pod „jurysdykcję” wyłącznie sowiecką. Nie potrzebujemy podkreślać, jakie znaczenie ma to dalsze ustępstwo.

Ale jest jeszcze inne. Oto w styczniu tzw. linia demarkacyjna nie była precyzowana. Używano ogólnego pojęcia, że biegnąć będzie na wschód od Wilna i Lwowa. Dziś, jak podają „Daily Herald” i „Daily Express”, mówi się już o linii, która ma hieć wzdłuż byłej granicy z Litwą, a potem na wschód od Wilna skraćć na południe szć do Karpat, zostawiając pod administracją polską Lwów i Zagłębie Naflowe, a więc można przypuszczać, że pod tzw. „jurysdykcję” sowiecką przypadłaby olbrzymie części województwa wileń-

skiego, nowogródzkiego, poleskiego, wotynskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego, jednym słowem co najmniej jedna trzecia obszaru państwa polskiego.

Nie uważamy za wskazane bliżej rozwinąć się nad szczegółami tej linii i zastanawiamy się, czy ta lub inna miejscowość zostanie włączona pod „jurysdykcję” sowiecką. Każde bowiem podawanie w wątpliwość naszej granicy wschodniej, każda rezygnacja z pełni suwerenności polskiej na polskich terenie jest w tych warunkach naruszeniem i podrywaniem naszej całości.

Interesuje nas natomiast propozycja p. premiera w świetle innych wiadomości. Oto wieny, że w myśl porozumienia St. Zjednoczonych, W. Brytanii i Rosji okupacja sowiecka Niemiec ma się rozciągać aż po Łabę. W tym wypadku sytuacja państwa polskiego wyglądałaby jak następują: na wschód od tzw. linii demarkacyjnej rozciągałaby się „jurysdykcja sowiecka”, na zachód od granicy dotychczasowej polsko-niemieckiej okupacja sowiecka, wewnątrz administracja polska przy uloženiu współdziałania wojsk polskich z wojskami sowieckimi.

Postawia pytanie, jakie są realne gwarancje W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych na wypadek, gdyby np. ze względu na interes narodów zjednoczonych Rosja po pewnym czasie uważała za konieczne wprowadzić swą administrację nieco dalej niż przewiduje to tzw. linia demarkacyjna? Do tej pory nie jesteśmy o tego rodzaju gwarancjach. Wiemy jedynie, że W. Brytanii i St. Zjednoczone są gotowe pośredniczyć w uzyskaniu zgody za ustępstwa polskie. Gdyby Rosja je przyjęła, dotrzymanie nowej umowy zależałoby jedynie od jej „dobrej woli”.

Rząd polski wykazuje w tej mierze stoicką wiarę i zaufanie, że Rosja nie postąpi z linią demarkacyjną tak, jak postąpiła z traktatem ryskim, z paktem o nieagresji, umową Sikorski-Mołotowa.

Dotychczas nie mamy wiadomości o reakcji rządu rosyjskiego na nowe ustępstwa polskie. Mamy natomiast nowe żądania sowieckie. Oto od dłuższego czasu, mimo ustąpiłości polskiej, prasa sowiecka nie przestaje atakować ani Naczelnego Wodza, ani ministra Obrony Narodowej, ani Dowódcę 2. Polskiego Korpusu, ani wojska na emigracji.

Ta sama prasa sowiecka domaga się w dalszym ciągu zmiany rządu i polskich władz wojskowych oraz krąją pogłoski, jakoby Stalin był gotów uznać polski rząd emigracyjny w Londynie pod warunkiem wejścia w skład jego nowego ministra, którego sam wyznaczy.

Odbывая się podróże do Moskwy nie tylko ks. Orlemański, ale i p. Lange. Ten ostatni przyjąwszy obywatelstwo amerykańskie narzuca się jako pośrednik w rozmowach pomiędzy Stalinem, Związkiem Patriotów i rządem polskim. A równocześnie na terenie zagranicznym czyni się upoważnionym do przedstawiania żądań swej przyjaciółki Wandy Wasilewskiej, poglądom na sprawy wewnętrzne Polski tow. Jędrzychowskiego, żądani polonizacji oddziałów Berlinga z wojskiem polskim poza granicami nie miał jako dyktatów dla narodu polskiego.

I oto dowiadujemy się, że p. Lange przyjęty został na posuchaniu przez p. premiera Mikołajczyka.

Sądźmy, że to postuchanie nie oznacza, aby tą drogą dopuszczone zostało mieszanie się obcych potencji w nasze wewnętrzne sprawy.

Wierzymy, że p. premier jak każdy z nas wie, że wojna jeszcze trwa i że sprawa polska zawisła nie od heroicznych jego prób ustalenia takich ustępstw, które by Rosja przyjęła, ale od całokształtu organizacji pokoju europejskiego. A pokój nie może przecież opierać się na tak kruchych podstawach, jaka dominacja na świecie trzech potęg, które mają tak sprzeczne interesy. Pokój trwały może być budowany tylko w oparciu o pełną suwerenność narodów sprzymierzonych. Ale dlatego właśnie nie możemy zaczynać jego budowy od umniejszania przez nas samych naszej własnej suwerenności. Nie możemy bowiem w niczym umniejszać tej roli, jaką jeszcze w wyniku tej wojny zapewne będziemy mieli do spełnienia wśród narodów najbliższych z nami współzyczących.

Wobec trudności, jakie w organizacji tego pokoju istnieją, przy których zagadnięcie polsko-rosyjskie jest tylko małym odcinkiem i to nie najważniejszym, nie przeceniamy doniosłości tej nowej oferty rządu polskiego. Ale czy w takim razie jako rezultat tych jego obecnych prób porozumienia się z Rosją nie zostanie jedynie to, czego tak obawiał się rozmowach z Niemcami Józef Beck — polskie dobro-wolne ustępstwo?

Jerzy Trzciniński

STANISŁAW KOWALSKI

Przytaczamy poniżej z niewielkimi skrótami ciekawy artykuł S. Kowalskiego z czasopiśmie w „Myśli Polskiej” Nr 65.

Co pewien czas, po każdym większym niepowodzeniu na polu okręskiego cięższego bombardowania Rzeszy, uważa setek milionów ludzi zwraca się z optymistyczną ciekawością w stronę Niemiec, aby zobaczyć, czy oto już pękają od wewnętrznej czy nadzieja już chwila antyhitlerowskiej rewolucji.

Zagadką współczesnych Niemiec leży jednak w swojej najgłębszej istocie w innej płaszczyźnie, nie tylko w sferze zdarzeń militarnych. Problem współczesnych Niemiec polega przede wszystkim na tym, że narodowy socjalizm jest doktryną filozoficzną obejmującą również sprawy eschatologiczne, tzn. ostateczne człowieka. Wyśmiewano się czczi i armaty niemieckiej, wymiśniano się i lekceważono ten oczywisty fakt, że hitleryzm jest koncepcją filozoficzną i posiada swoją metafizykę. W obu wypadkach koszty wyśmiewania wydają się być bardzo wysokie.

Hitlerzy uważa siebie za receptę na urzadzenie świata, najznakomitszą jaką ludzkość wydatka. Gdyby narodowy socjalizm miał upaść — tak sądził jego ideologowie a za nimi całe niemieckie społeczeństwo — świat nie miałby po co istnieć, a zwłaszcza nie byłoby celu istnienia dla Niemca. Z tego przekonania wynika decyzja poświęcenia — jeśli potrzeba — każdej rzeczy, nawet połowę ludności Niemiec, dla podtrzymania przy życiu hitlerizmu. Jeśli czegoś brakło tej doktrynie od absolutnego zapewnienia nad niemieckim społeczeństwem, to silnego, z zewnętrznych wielkich wypadków idącego potwierdzenia.

W ostatnich latach, kiedy poczęło się już w sposób oczywisty zanosić na klęskę Niemiec, Hitler dwukrotnie, a za nim wielu innych przywódców narodowo-socjalistycznej, mówili o tym, że zanim by kiedykolwiek klęska zbliżyła się naprawdę do Rzeszy, wpróżd się do stanu zupełnego zniszczenia. Pełnocownik dla przemawiających Rzeszy, Sauckel, przemawiając m. in. w Krakowie w połowie czerwca 1943 r. tak to jeszcze raz wyraził: „Będziemy walczyć, i to w najgorszym wypadku aż do zupełnego upadku Europy. Zanim jednak Niemcy przegrają wojnę, to i tutaj, jak w całej Europie, nie zostanie kamień na kamieniu”. („Nowy Kurier Warszawski” z dn. 19 czerwca 1943 roku).

Kalkulacja niemiecka jest prosta: gdy się spodziewa, iż normalną drogą wojny tej wygranej nie będzie można, należy zrobić największy możliwy zamęt w eschatologicznej sferze poszczególnych narodów i w życiu międzynarodowym; na tego czasu naród niemiecki, ujęty do końca w twardą dyscyplinę porządku, będzie jedyną zorganizowaną grupą, która będzie mogła się ostać, a następnie rzucić.

Bieg wypadków niesłychanie Niemcom w zrealizowaniu tej koncepcji pomaga. Właśnie w chwili, kiedy zaczęli się namyślać, jak — wobec nieuchronnej klęski — chaos jaki wokół rozpaść, przyszła niespodziana pomoc. Wojna — dotychczas i militarna — zaczęła się przedłużać również i w sferze politycznej. Elementy obu tych wojen różnie i skłócone ze sobą, poczęły się zderzać, krzyżować i powodować ostre wiry. Gdy się jeszcze okazało, że przeciwnicy Niemiec w obrębie tej samej wojny chcą od jednego zamachu nie tylko wygrać wojnę, nie tylko dokonać reform, ale przeprowadzić również rewolucję społeczne (nie uzgodnione ponadto co do treści), przed Niemcami stanęła niepodważalna wielka szansa, a uchyliku czwartego i na początku piątego roku przegranej wojny...

Militarna kalkulacja niemiecka

Na wiosnę 1943 roku Niemcy w postaci ostrej czujności a w posiadaniu owoców udanej „totalnej mobilizacji” stali przed decyzją, jaką obrac taktykę wobec frontu wschodniego i jaką taktykę na froncie wewnętrznym.

W czasie od maja do listopada zeszłego roku (do ten okres uważam dla obecnej Rzeszy Niemiec za rozstrzygający; wszystko, co się teraz w Niemczech dzieje, jest na razie tylko skutkiem niepodważalnego zwycięstwa) w czasie od maja do listopada zaszyły m. in. trzy ważne fakty, które wywoływały określone decyzje niemieckie w stosunku do wszystkich odcinków prowadzonej wojny. O tych trzech faktach będzie w całym artykule mowa, w tym miejscu potrzebne jest wymienienie o nich jednego: wypadnięcia z zapasów wojennych Włoch, a raczej zjawiska szerszego, które w płaszczyźnie wojenskiej zaznaczyło się i ten dzień — odwołania z frontu wschodniego wojsk szóstego „osi”.

Uświadomienie sobie przez Niemcy nie dostateczności rezerw ludzkich przyniosło decyzję w sprawie zmiany koncepcji wojny z Rosją. Zrezygnowano — acz z wielkim żalem — z zamiaru pedzenia armii sowieckich choćby pod Ural, aby je zniszczyć, a postanowiono wojnę z Rosją prowadzić przez zniszczenie armii sowieckich systemem defensywnym. Zgodzono się z tym faktem, że Rosja nie zostanie pokonana przez zajęcie Moskwy i Leningradu, lecz postanowiono, że jej siła mili-

TE SAME SPRAWY

Od strony niemieckiej

tarna będzie kruszona na tysiącach przeskoki, porostawianych po olbrzymiej zajętej dole przestrzeni.

Za nowa koncepcja wojny na froncie wschodnim została oparta przez Niemców na dwóch elementach: na diagnozie osłabienia sowieckiego i na zasadzie wielkich żarzeń.

Według oceny niemieckiego sztabu siła Rosji jest bardzo jeszcze znaczna, ale charakteryzując się tym, że zarówno w materiale jak i w ludziach płynie z ponadnormalnej pracy. Sytuację sowiecką w tym zakresie ma pogarszać fakt posiadania przez Rosję dalekich ambicji, przekraczających bardzo znacznie sam cel wygrania militarnej wojny. Według oceny niemieckiej siła sowiecka byłaby dostateczna do wypędzenia Niemców z terenów rosyjskich, zamieniając natomiast do zrealizowania sowieckich planów politycznych. A ponieważ Sowiety są zmuszone do politycznych planów realizować, przeto siły sowieckie są i będą stale wyczerpywane; gospodarując się nimi rabunkowo, przemęca człowieka i maszynę. Opierając się na tej diagnozie Niemcy doszli do przekonania, że Sowioci, zwołanym przez nich ostatnim wrześniowym i zwołanym od wysłania, w odpowiednim czasie zadadą śmiertelny cios.

Aby to wysilenie jeszcze zwiększyć i przyspieszyć, sztab niemiecki cały teren pomiędzy wschodnią granicą Polski a najdalejszym zasięgiem swoich terytorialnych w Rosji zdobyłby zamienił na olbrzymie żarna, w których miała się mielić i kruszyć siła armii sowieckich. Każdy odcinek terenu został najeżony przeszkodami i pułapkami, miasta i wsiły kolejowe zostały zamienione na fortce brzozy, a lasy i sasy jezior w potężne uroczyska. I oto przez cały rok 1943 aż do chwili obecnej jesteśmy świadkami działania owych żarzeń, na które obrócone zostały nie całe siły niemieckie frontu wschodniego, gdyż pozostawiono w stanie absolutnego nieurządzenia rezerwy przeznaczone na końcowe zadania.

Ujemnym dla Niemiec następstwem przyjęcia takiego planu jest sam psychiczny fakt defensywny, oraz materialne skutki wynikające z cofania się. Ujemnym dodatkiem do powyższego (przy działaniu dodatkowego czynnika psychicznego, płynącego z faktu zdobywania przestrzeni i parcia naprzód) są olbrzymie koszty bezustannego ataku i trudności w zaopatrzeniu coraz dalszego od baz przemysłowych frontu.

Oceniając te sprawy od strony niemieckiej należy pamiętać, że korzyści z przyjęcia tej koncepcji są bardzo znaczne, a jej wykonanie, wydajne skrócenie linii zaopatrzenia, znaczne zwiększenie potencjału ludzkiego w stosunku do rozporządzanego terenu; każdy kilometr cofnięcia się oznacza zwiększenie ilości żołnierza zdolnego do obrony pozostałych kilometrów. Musi być ponadto brany pod uwagę jeszcze jeden ważny czynnik z zakresu psychologii żołnierza niemieckiego: cofając się do granic Polski, żołnierz niemiecki poczyni się czuć w znajomym a nie apokaliptycznym krajobrazie. Zima w tych stronach przestaje być podobna do „bziego piekła rosyjskiej zimy”.

Rzecz prosta, że jeśli taka koncepcja, najryzykowniejsza jaką można sobie wyobrazić, nie ma się stać absurdem, konieczną jest rzeczą, aby owo cofanie skorygowano się w jakimś sensownym miejscu i czasie, i aby skrótek „żarzeń” przają końcowy manewer ofensywny.

Niemcy, oczywiście, wierzą i w ów czas i w owo miejsce.

Kalkulacja niemiecka na płaszczyźnie psychicznej

Należę do tych publicystów, którzy z uporem utrzymują, że Niemcy w sferze tej wojny były kilka razy o cal od załamania. Zdaniem kontynuowania walki, względnie decyzja kapitulacji jest wynikiem współdziałania dwóch czynników: materialnej możliwości walki i psychicznej wiary w jej sens i możliwość. W ciągu roku 1943 Niemcy dwukrotnie były blisko załamania: raz po kapitulacji Włoch, drugi raz w czasie między bombardowaniem Hamburga i Berlina. Ukazanie się narodowi niemieckiemu potwornego widma wielkich bombardowań jest tym drugim, z trzech, czynnikami, który wpływał decydująco na kierunek polityki niemieckiej w ostatnim okresie.

W obydwu wspomnianych wypadkach załamanie groziło nie z powodu bezpośrednio, lecz z tej przyczyny, że w następstwie bardzo niepomysłowej wiadomości wydygotała się na wierzch sprężona dołąd do podświadomości zbiorowej, bezradność sytuacji ogólnej. I w wypadku widomkim i w wypadku bombardowań, w nagłych skrótach porażki, społeczeństwo niemieckie dostrzegło, że Niemcy są

osaczone pierścieniem, z którego się nie da wyobyć.

A jednak, podobnie jak z pod Stalingradu, Niemcy i z pod tych dwóch dalszych okresów załamania potrafili się wyobyć. Co im pomogło?

Nie należy sądzić, że Niemcy są narodem świadomych samobójców... Nie należy również sądzić, iż choć są narodem morderców, są pozbawieni zdolności do kalkulacji i realizmu politycznego. Generałowie niemieccy nie są kompletnymi idiotami, jakby można niejednokrotnie przypuszczać na podstawie komentarzy prasy alianckiej. W początku zeszłego roku istniał silny konflikt pomiędzy Hitlerem i generałacją, a Hitler bynajmniej w tym sporze nie był stroną mocniejszą. Gdyby istotnie nie było żadnej szansy w prowadzeniu dalszej wojny, znalazłby się sposób i na Hitlera i na jego eschatologię — Niemcy by skapitulowały.

Większy konflikt między generałami a Hitlerem jest zagrożony, co więcej, nastąpił harmonijny między nimi podział rol: generałowie na froncie, partia w kraju. Mianowicie Himmlera ministrem spraw wewnętrznych Rzeszy może nie tylko oznaczać to, że front wewnętrzny pęka i trzeba go podprzeć karabinami maszynowymi, ale oznacza na pewno chęć przygotowania kraju do nowego zadania, które polega na czekaniu. Czekanie miesiącami i latami podczas wojny nie jest czekaniem w czasach pokoju; ma wiele nieprzewidywalnych dystrykacji. Rolą Himmlera, uzgodnioną najściślej z generałacją niemiecką, jest używanie przez niemiecki clerdyw, czekać bez względu na to, co by się mogło dzieć. Czekanie, lecz bynajmniej nie na przy życie zwycięstwa. Ten prasy niemieckiej z lipca zeszłego roku, a ton prasy niemieckiej ze stycznia 1944 r. jest zupełnie różny. Dziś ten ton jest o wiele pewniejszy siebie. Pojawia się znowu niemiecka buta.

W roku 1943 zaszędzili bowiem jeszcze jeden fakt, oprócz dwóch wyżej wymienionych: odpadnięcia Włoch i bombardowań na wielką skalę. Ten trzeci fakt jest: w r. 1943 w obozie walcącym z Niemcami dokonali się zmiany w postawie wobec tej wojny.

Od r. 1933, a zwłaszcza 1939 Niemcy popędzili najdłuższe zbrodnie, jakie może być społeczeństwo ludzkie popełnić. Naród niemiecki próbował te zbrodnie i cieszył się nimi, ale wiedział, że to chodzą o zbrodnie, gdyż dość niedawno jeszcze należał do wspólnoty jednej cywilizacji moralnej. Napadnięcie słabszego, łamanie traktatów, wywołanie ludności, wysiedlanie bez odszkodowania, mordowanie, obozy koncentracyjne, wywieranie presji politycznej karabinami, wysłanie „dobrowolnych” zreszczeń się. Jak długo trwały zwycięstwa i jak długo były silniejsze od „moralistów”, z rozumienia nie miało żadnego znaczenia. Lecz gdy zaczęły się niepowodzenia, widma zbrodni wylazły w formie zwyczajnego strachu. Uświadomienie sobie tego, że „forteca europejska” jest opasana łańcuchami pierścieniem, który coraz bardziej się zaciska, a jednocześnie świadomości popędzonych zbrodni — tworzyła już w Niemczech w pewnych chwilach nastrojów paniki i psychologicznego ratowania się w pojedynkę. Załamanie niemieckie mogło przyjść w każdej chwili większego niepowodzenia wojenskogo z równoczesnym zrozumieniem, że wszyscy dołownie nie Niemcy, że cały świat stoi przeciw nim ze swoją straszliwą siłą słuszności moralnej.

W ciągu dwóch ostatnich lat Niemcy kilka razy byli bliżej tego momentu bezradności. Należy powiedzieć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że gdyby nie zmiany w obozie walcącym z Niemcami w 1943 roku, od kilku miesięcy milczałyby już może działała na froncie europejskim.

Sukurs przyszedł naprzód w sferze zatamowania się moralnego. W obozie nieprzyjaciół Niemiec przestało się mówić o sprawiedliwości i wolności, cel wojny przestał być określany jedynie jako uwolnienie okupowanych narodów; poczęły się zjawiać dodatki — korektury graniczne, zmiany w ustrojach uwalnianych państw, sfera wpływow, „wielka czwórka”, która zastęfuje się następnie do „wielkiej trójki”. Najpoważniejszą gazetą świata, „London Times”, powzięła: że organizację międzynarodową można oprzeć jedynie na siłę i na rzecz tej siły musi się poświęcić wiele dotychczasowych prerogatyw, wpływających z samostanowienia narodów. W umyśle wahającego się już Niemca zaczęło się pojawiać pytanie, czy hitlerowcy ze wszystkim co zrobili może na-

prawdę nie są zbrodniarzami, skoro inni, ci sprawiedliwi, mówią o podobnych rzeczach nie jako o zbrodniach. Może istnieje to wszystko, co robił hitlerowcy, wypływa z tego z ich nie o ducha czasu. Niebawem przyszedł sukurs w sferze politycznej. W Niemczech wychytano bardzo szybko fakt, że cele wojny poszczególnych wielkich partnerów nie zostały bynajmniej uzgodnione. I że jeden z tych partnerów prowadzi swoją własną politykę, kolidującą nie tylko już z poprzednimi założeniami moralnymi, ale godzącą w najbardziej materialne, najbardziej ziemskie interesy innych wielkich partnerów.

Tak więc nagle, w chwili, kiedy sytuacja wydawała się zupełnie beznadziejna, przyszła dla Niemiec szansa, wielka szansa wygrania jeszcze tej wojny politycznej, przy przegraniu jej militarne. To ona, ta szansa, sprawiła, że Hitler nie poszedł w odstawkę, że przeciwnicy generałowie poszli z nim na dalszy kompromis, że zgodnie przeprowadzono podział rol: wojnę prowadzą wojskowi, front wewnętrzny i produkcję trzyma w rękach partia. Partia narodowo - socjalistyczna jest w tej chwili potrzebna Niemcom bardziej niż kiedykolwiek w ciągu ubiegłych jedenastu lat.

Według tego, co się Niemcom wydaje, jest dla nich kwestia życia i śmierci — przetrwać. Przetrwać, przeciągnąć, przelewać i pozwolić tylko grać tym czynnikom w obozie nieprzyjaciół, które muszą doprowadzić w nim do rozłamów. Są zapewne politycy hitlerowscy, którzy wywarają na sobie, że siedzą w łóżu arony wojennej i przyglądają się widokowi dawanemu na ich dochoć. Jest to łożo niezapelnie wygodna, z sufitu jej zalecia bombami, od wschodu i półwyspu Apenńskiego wieje nieprzyjemnie, a na wybrzeżu atlantyckim wzbiera burza. Ale zawsze lepsze to niż leżeć przywalonymi kłekska.

Niemcy odcyfrowują sytuację polityczną

Być „fortecą europejską” jest źle z punktu widzenia wojenskogo, ale takie położenie daje duże szanse w zakresie obserwowanym. Niemcy, cokolwiek by się powiedziało o ich ciężkiej sytuacji militarnej, tym jednym naprawdę gorują na każdym ze swych przeciwników: zajmują najdogodniejszą pozycję obserwacyjną. Inna sprawa, czy przy ich znanym zagrabności psychologicznej, cokolwiek im z tego naprawdę przyjdzie.

Znajdują się w samym centrum globalnych zmagających, które objęły cały ziemski. Jeden z wielkich przeciwników, Rosja sowiecka, aż do czasu wojny był najsłabszym izolowany. I to izolowany w obydwu kierunkach: Rosjanie nie nie wiedzieli o świecie, i świat nie nie wiedział o Rosji. Od chwili wybuchu wojny szczególność tej izolacji w gruncie rzeczy się nie zmieniła: świat na Rosję z okien ambasad w Kujbyszewie i Moskwie, naród rosyjski na świat z artykułów w „Prawdzie”. Rosja od państw Zachodu jest odgrazona w tych miesiącach wojny bardziej jeszcze niż okupowana Polska. Znajdują się na dalekich antypodach, oddzielona na 25 latami kompletnej izolacji i nie jednym ale kilkoma frontami bojowymi. Drogą są za okólną, przez naci konwojów, przychodzi o ich wiadomościom mniej niż Zachód mógłby sobie życzyć.

Oczywiście, żaden z urzędników Gestapo nie był na poufnych rozmowach w Moskwie i w Tcheranie. Ale w Niemczech przecież dobrze znane są oficjalne komunikaty, wydane po obydwu tych konferencjach. Wydaje się Niemcom, że gdy zestawiają tekst tych komunikatów z rzeczywistością, jaka zaczęła po nich grać na terenie europejskim — wiedzą więcej nawet, niż by było potrzeba. Wystarczy im tylko dobrze obserwować zachowanie się agentów komunistycznych i czytać prasę przez tych agentów kolportowaną, aby dowiedzieć się dokładnie, co w Tcheranie postanowiono i jak do tych postanowień poszczególni wielcy partnerzy się ustosunkowują.

Jest pewien problem tej wojny, który zaczyna już znajdować wyraz nawet w politycznych publikacjach niemieckich, a od dawna i w pełni musi grać w politycznym umyśle niemieckim. Tym problemem jest przekonanie Niemiec, że Rosja sowiecka przejęła w całości niemieckie i jeśli chodzi o ostateczne cele i o metody postępowania.

Problem przedstawia się w sposób następujący: polityczna literatura niemiecka uważa, iż obecna wojna dla Rosji sowieckiej rozpada się na dwie wyraźne części — pierwsza, do Stalingradu, wojnę obronczą i drugą, od Stalingradu, wojnę imperialistyczną. Kontrahent „paktu przyjaźni” z 22 sierpnia 1939 r. wie dobrze i teraz to cynicznie ogłasza, że marzeniem politycznym Rosji sowieckiej było powiększenie i

(Dokończenie na str. 9.)

(Dokończenie ze str. 8)

rzuceniu na siebie wszystkich sił poza Sowietami i wkroczeniu w ten sposób w chwilę, kiedy imni będą znacząco wykrwawieni. Niemcy z wraskami przypisują sobie zaślusę, że to kalkulacja sowiecka skłoniłaby i omal że nie uniemożliwiły. Teraz znów wrzeszcza, że Sowietcy, wspomóżone bronią angielską i amerykańską, okres skomplikowania przetrwały, i oto twardej postawieniem wkraczają na pozycje, o jakiej marzyli zawsze: dyktowania zwyciężonemu światu swojej woli. Należy przynajmniej, a może pociągnięciu Sowietów na arenie międzynarodowej oraz publicystyki partii komunistycznych w podobitych krajach europejskich tym niemieckiem twierdzeniem dodać „porozur” urzekającego prawdobobieżniństwa. Za działywającą nonszalantją Rosja sowiecka robotę niemiecką. Goebbelsowi swoje postulatę jedynie „przekręcać bez jednego punktnika zmiany” oficjalne enuncjacje sowieckie i podziemne wydawnictwa komunistyczne. Operując na istotnie tymi prędkami szczerze, nawet w fotograficznych odbitkach.

W publicystyce niemieckiej czyta się wyraźne aluzje do tego, iż Rosja sowiecka chce zdobyć karierę na kontynkurze integracji, jaka leży w charakterze naszych czasów: chce zdobyć całą Eurazję, jako bieżące do panowania nad światem. Publicyści Niemcy przyznają się cynicznie, że identyczny plan miały Niemcy, lecz miały go po to — tu jest ten cynizm — aby właśnie ratować cywilizację wobec nieuchronności integracyjnych. Jest specjalny smak w czytaniu obecnie gromów publicystyki niemieckiej na te zamiary sowieckie, które jeszcze trzy, dwa lata temu były zamiarami niemieckimi: opanowania Europy, aż do wybrzeży Francji, zajęcie całego Bałtyku i silnych baz na Morzu Śródziemnym, zapuszczenie silnych korzeni w świecie arabskim, spowodowanie największego możliwego fermentu w Indiach, poróżnienie Wielkiej Brytanii ze Stanami Zjednoczonymi i zlikwidowanie Brytyjskiego Imperium.

Jest w tych gromach wściekłość zawodu, ale jest i jedyna nadzieja. Niemcy wiedzą z doświadczeń własnej skóry, w którym punkcie państwa zachodnie zobaczyły swoje niebezpieczeństwo, gdy Niemcy prowadziły grę integracji, i teraz — rozumiejąc we wszystkich pociągnięciach sowieckich swoje niedawne pociągnięcia — patrzą nie bez pewnej satysfakcji, kiedy państwa cywilizacji zachodniej są zmuszane, że są na rzę drągi w ten sam sposób zagrożone.

Też niemiecka jest, że Rosja sowiecka, przyciskana do muru Lend and Lease bitem, zawiera porozumienia i układa się, ale że te układania są tylko schodami do ich własnych egoistycznych planów. Dziennikarze niemieccy głoszą, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone pójdą na każdą rezygnację wobec Sowietów, zahipnotyzowane mirażem współpracy międzynarodowej, ale politycy niemieccy wiedzą, że to jest nieprawda. Wiedzą bowiem, jak już pewne kompromisy dotychczasowe wygładają w jaskrawym świetle oceny podobitych latu Europy: wiedzą, że postawienie niezachwytliwej roli wobec zaimprowizacji, zwłaszcza w takich krajach jak Anglia, może trwać kilka miesięcy, ale nie dłużej i nie wtenczas, gdy tych ekwilibrystycznych problemów jest za wiele.

Rozbieranie Polski, w której obronie pod niestronem orzę, jest nonsensowne, który można wstrząsnąć na ten temat w dziedzinie prasy, ale którego nie uniesie żadna poważniejsza historia dla szkół krajów, który chce żyć posiadając honor. Przypiekanie rozmaitymi sposobami rządu walczącej Polski i żądanie od niego zrzeczenia się potowy terytorium bez możliwości odniesienia się normalnego o zgodę społeczeństwa jest zbrodnia przeciwko principiom demokracji, po popienieniu której w ogóle stowa demokracja nie może być już wymówione.

Sądzą, że politycy niemieccy zacierać w tych czasach z zadowoleniem ręce. Rosja sprawiła im wiele nieprzyjemnych niespodzianek, ale okazuje się, że Rosja sowiecka jest ich wielką, obiecującą nadzieją. Tylko tak dalej...

Tak się składa, że wielka część ciężaru wojny w Niemczech spoczywa w tej chwili na propagandzie, przy czym prace Goebbelsa nad społeczeństwem niemieckim wierzono jest powodzeniem...

Warto pamiętać, że w przyszłości polityka sprządać się zdaje wszystko, co propaganda niemiecka zaplanowała od dwóch lat. Jeśli chodzi o zamiany w polityce Rosji sowieckiej i krajów angielskich w stosunku do krajów europejskich, urzeczywistniać się zdaje w tym zakresie wszystko, co twierdziła na długo przedtem prasa i radio niemieckie.

Bodaj po raz pierwszy w dziejach polityka strony przeciwnej wydaje się realizować w pełni nieprawdziwe dotąd zarzuty wroga. Wpływ tego dokładnego sprządaństwa się twierdzi propagandą Goebbelsa musiał być na społeczeństwo niemieckie olbrzymi. W pierwszej połowie wojny sprządziły się z nadzwyczaj wszystkie zapowiedzi militarne niemieckiej propagandy, gdy

w drugiej połowie tego nie stało, zaczęły się sprządać wszystkie twierdzenia polityczne.

W tym przedstawieniu udało się uzyskać Goebbelsowi największe zwycięstwo, jakie kiedykolwiek odniosła propaganda; doprowadziła ona do zdania sobie sprawy przez przeciętnego Niemca, że ta wojna była nie tylko upragniona, ale że była także nieodowna...

Oszałamiające wrażenie i wpływ na zwykłego człowieka wywiera zwłaszcza przebieg sprawy polskiej. Trzeba pamiętać, że przez cztery i pół roku Polska była przedstawiana Niemcom jako ten kraj, o którego obronę rozpoczęły się nieszczęśliwa wojny i jako ten jedyny kraj w Europie, który zapomniał ślepa, upartą miłością do Anglii. Ta Polska w rozrządzie opinii niemieckiej wyrosła do symbolu każdego niemiecczego, jakie na Niemcy spadało. Polska każdemu Niemcowi wydawała się alter ego zmienawdzonej Anglii a zarazem symbolem i godłem tej wojny. I oto tę Polskę zabierają się najspokojniej krajać. Pod wpływem bombardowania wielu Niemców przychodziło do głowy, że może jednak ra-

rechoczą i rżną z zachwytem: „Na, na, jeztz verherstet du was die demokratische Welt bedeutet?”

Trzecia korzyść: osłabienie ruchu podziemnego. Ruch podziemny w Europie jest olbrzymi. Gdyby był zajęty jedynie walką z Niemcami, szkody dla Niemiec byłyby wszędzie takie, jakie są do dziś w Polsce. Ale oto okazuje się, że część tego ruchu zajmują się czymś innym: propagandą polityczną dla jednego ze sprzymierzeńców. W niektórych krajach ruch podziemny zaczyna coraz więcej zajmować się wzajemnym zwalczaniem różnych frakcji między sobą zapominając o Niemcach.

Cytując w doniesieniach z Polski stałe wiadomości o tym, że tzw. „partyzanci” nie występują przeciw Niemcom, a Niemcy nie występują przeciw nim, długi czas nie mogłem zrozumieć tego zjawiska. Dziś rozumiem je w zupełności. Sami partyzanci zajmują się bardziej agitacją polityczną niż walką, a Niemcy nie przeszkadzają im wnosić zamęt. I tu działa kompleks loży, z której się patrzy na robotę wykonywaną przez innych. Ruch podziemny w Europie jest dla Niemiec o połowę mniej groźny od chwili, kiedy podzielili

setki tysięcy według obwładzenia biskupa polskiego, który przebiegał w Sowietach obcy koncentracyjny dla Polaków. Bezuwastnie przewija się w propagandzie niemieckiej motywy następujące: ładnie wyglądać będą te wasze zapowiadane reliefy i wolności od przemocy oraz strachu, skoro teraz nie możecie wydobyc półtora miliona Polaków pozostałych jeszcze przy życiu z sowieckich obozów koncentracyjnych i dać im chleb oraz odzienie!

Szósta korzyść: rozgrzeszenie Niemiec z napadu na Polskę i jej rozbioru. Zbrodnia, jaką obciążają się Niemcy na pierwszym planie był napad na Polskę i jej rozbiór. Ten fakt był reprezentacyjnym zarzutem, który strzeszał w sobie wszystkie inne. W chwili obecnej istnieje plan i początki jego realizowania — rozbiór wia s i e Polski wewnątrz obcy sprzymierzonych. Nie wdaję się w inne aspekty tej sprawy, wspomniany fakt jest z d e j m o w i e m z Niemiec ciężkiego zarzutu. Jest ich rozgrzeszeniem.

Berlin i inne sprawy

Poza tym, co się tu napisało, wszystko inne, wszystkie doniesienia o symptomach usterek w niemieckim aparacie wojennym są szustne i prawdziwe.

To wszystko naprawdza analogie i podobieństwa z końcowego okresu poprzedniej wojny i pdsuwa wnioski podobne do tamtej rzeczywistości. Sądzą jednak, że analogie są czysto pozorne, a symptomy, które wtenczas oznaczały koniec oporu Niemiec, teraz tego nie oznaczają. Różnica leży w tym, że wówczas Niemcy stracili nadzieję, a teraz ją zyskali. Sytuacja z lata 1918 r. była podobna do sytuacji z lata 1943 r. Lecz pozwoły pracować wyobraźni i zrozumieniu, że w Berlinie bombardowania niewywała nie tylko grozę, ale i stan, który znała londyńczyce: znalezienia się poza przywiązaniem do domu, do wygód, do jedzenia, a zatknięcie się z rzeczami ostatecznymi. Jeśli w tym stanie ducha zbiorowisko ludzkie rozumie, że walczy o słuszną sprawę — hartuje się i wygrywa.

Propaganda niemiecka czyni wszystko, aby ten stan ducha Niemców nasycić przekonaniem, że walczą o największą sprawę w dziejach. Wydają się, że prosty rozum dyktuje, aby im tego perfidnego oszustwa nie ułatwiać i nie uprawdopodobniać.

Staralem się przedstawić dokładnie i wiernie stan nastrojów oraz rzeczywistość niemiecką na podstawie stalego czytania radiowych komunikatów niemieckich i niemieckiej prasy. Jest to czynność nie należąca, zwłaszcza teraz, do zajęć przyjemnych. Czynność rozpoznawania reaktywności nastrojów i sił zbrodniczą, który już niemal leżał przywołany zwątpieniem.

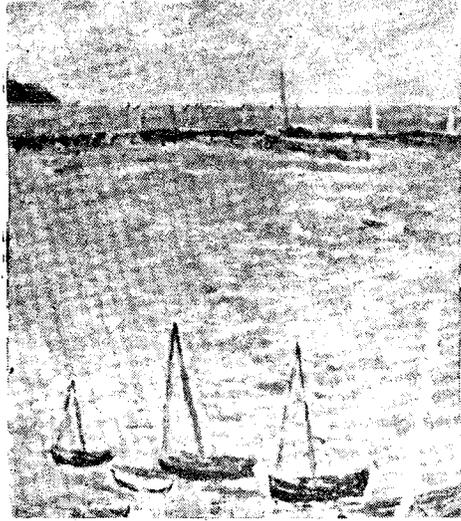
Rzecz prosta, że ułamek powiedzie, jak się potoczą losy wojny, ani czy Niemcom przyjdzie coś z tej strony, jak — wydaje im się — złapali w garść. Lecz wszystko wskazuje, że szansę te otrzymali. Nie mogą obronić się smutkowi, gdy pomysł, że wojna mogłaby już być ukończona. Nie mogą być smutku myśleć o tych ludzkości, dla których to oznacza kilkanaście miesięcy więcej cierpienia, głodu i prześladowań. A także o tych tysiącach, setkach tysięcy, czy może nawet milionach, którzy muszą zginąć w krwawych walkach zdobywania forty, już nadkruszonej i dojrzałej do kapitulacji, lecz nagie wzmocnionej i utwierdzonej się w konieczności najtwardszej obrony.

Dobrze jest bowiem ciągle pamiętać o tym, co było już wspomniane wyżej, że zdolność walki opiera się na dwóch czynnikach: na sile militarnej i na sile duchowej. Jednym z nich musi być zwycięstwo. Nie może być pokonać znaczenie i tawitę i że znaczenie mniejszymi stratami, niż Niemców, którzy trzymają w garści swoją wielką szansę. W dobru wypadku trzeba będzie najprawdopodobniej zwrócić fortę kilometry po kilometry. Przy powstawaniu w dodatku takiego stanu rzeczy, gdy naturalni sprzymierzeńcy atakujących, ludy podbite, zostają osłabione brutalnym gąszeniem ich najsluszniejszych nadziei.

Niemców względnie szybko można pokonać tylko przy powstaniu tych warunków, kiedy wszystkie siły narody z nimi walczące, również Rosja sowiecka, otoczą „fortecę europejską” zwartym pierścieniem nie tylko żelaza ale i słuszności moralnej. Ta słuszność moralna jest bronią strażniwą, gdy zjednoczy się z nowoczesnym sprzętem wojennym Sprzą sam, bez słuszności, jest o wiele zawodniejszy narzędziem zwycięstwa.

Zanotowały coś na ten temat również i dzieje obecnej wojny.

Stanisław Kowalski



Józef Czapski: Pejzaż (Do art. na str. 3.)

cię mają sprzymierzeni. Przez przykład Polski, zdęgustowany do reżimu hitlerowskiego Niemcy dochodzi do wniosku, że w unruście rzeczy wszystko jest tym samym krętkawcem. A skoro tak jest, lepiej nie zmieniać zła, które się zna, na takie samo zło, którego się nie zna.

Ma więc rację Goebbels, gdy mówi, że to koniec świata.

Trzeba przetrwać.

Korzyści doraźne

Tak się przedstawia ta najważniejsza korzyść niemiecka, na której w tej chwili jest odnowiana cała niemiecka nadzieja. Lecz oprócz głównej, wyciągają Niemcy jeszcze kilka drobnych, doraźnych korzyści.

Stan obecnej sytuacji politycznej utrzymuje w obowie niemieckim wszystkich satelitów, z wyjątkiem Włoch. Istniało przednio poważne niebezpieczeństwo dla Niemiec odgadnięcia zwłaszcza Rumunii i Węgier, istniało ponadto niebezpieczeństwo czynnego wystąpienia po stronie przeciwników Niemiec Turcji. Dziś nie trzeba się tego obawiać. Dziś nawet nie trzeba robić nacisków. Samo się wszystko robi, a żołnierze rumuńscy nawet nieźle zaczynają się bić.

Świat staje na głowie na beneficj Niemiec. Dawnie kraj jakiś przystępował do wojny wiedząc, że może stracić od nieprzyjaciela, lecz od sojusznika tylko zyskać. Dziś — wchodząc w wojnę — nie wie, czy nie straci także od sojusznika. Przykłady zdają się raczej umacniać wątpliwości.

Druga korzyść: zsuwanie kosztów wojny na innych. W wszelkie wojnie najczęściej skutki ponieśli satelici Niemiec — przy uchronieniu głównego zbrodnicarza — Węgry i Turcja. Od czasu tamtej wojny dokonał się jednak w tym zakresie postęp. Być może i tym razem zostaną ukarani także satelici. Ale najgorszy żart historii z punktu widzenia niemieckiego polega na tym, że kosztą wojny ma zapłacić jeden z najdzielniejszych obrotców wolności. Za nim zaś kraj, które wcieliły w życie najczystszy ideał demokratycznego życia: Finlandia, Łotwa, Estonia, Litwa. Czynniczy oprawcy z partii nazistowskiej

się na dwie części z dwoma różnymi celami.

Czwarta korzyść: załatwienie pewnych spraw, których Niemcy sami już wykonano nie mogli. Marzeniem całej dziesiętnastoletniej politycznej myśli niemieckiej było i jest zmniejszenie narodu polskiego i niedopuszczenie do tego, żeby państwo polskie było większe od „Saison-Staat”. Z tego punktu widzenia wywiezione 2.000.000 Polaków i obywateli polskich przez Sowiety do obozów koncentracyjnych, czyli praktycznie na wymarcie, jest dla Niemców gratką nieładną. Z tego punktu widzenia okrawywanie Polski o połowę jest najpiękniejszym dla nich czynem, za którego wykonanie nie starczy żaden krzyż rycerski z mieczami, nawet najwyższej klasy, czyli bylantowsy. Z tego punktu widzenia jakaś łmia demarkacyjna z administracją sowiecką jest szczytną korzyścią: administracja ta — wzorując się na własnych wyznach z r. 1939-41 — wyczerze Polaków bardzo dokładnie z tego terenu.

Przez półtora roku poprzedniej okupacji wymioła administracja sowiecka dwa miliony, to ileż uła się jej wymieść pod Ural i koto podbiegunowe w ciągu lat trzech, czterech do czasu konferencji pokojowej!

Piąta korzyść: ściąganie innych do swego poziomu moralnego. Niemcy popienili olbrzymie mnóstwo zbrodni. Zbrodni najdzikszych w dziejach nowoczesnych. Jakkolwiek nie sobie z tego nie robią, jednak wiedzą, że popienili z b r o d n i e. Zbrodnierz nie lubi iść w pojedynkę, raziniej się czuje, gdy jest w towarzystwie. W tej chwili toczy się — oprócz walki frontowej — jeszcze i niewidoczny bój między Niemcami a Sowietami o udowodnienie, że sowiecki totalizm popełnił takie same zbrodnie, jak Niemcy, a cały pozostały świat zamylał na to oczy. Ślad Kałafy był taką gratką dla Niemiec, a dla Sowietów jest taką zasadniczą sprawą do zdementowania. Z tej samej przyczyny trzymają w rękach i żyją do ostatniego włókna inny atut, którym jest trzymanie w Rosji, bez domu i bez prawnej opieki, bez możliwości otrzymanym za granicę paczek żywnościowych, setek tysięcy Polaków. A zwłaszcza straszliwy los wywiezionych dzieci polskich w Sowietach. Tych dzieci wymarto w strasznych warunkach głodu i mrozu

PRZEGLĄD PRASY

Ameryka oskarża gen. de Gaulle

Szef tymczasowego rządu francuskiego, gen. de Gaulle, zaproszony do Waszyngtonu, zjadła Roosevelta do Waszyngtonu. Komitet algerijski — jak wiadomo — nie jest do tej pory ani przez Wielką Brytanię, ani przez Stany Zjednoczone uznany za rząd Francji. Natomiast szereg innych narodów zjednoczonych, między nimi Rosja i Polska, przyznał komitetowi algerijskiemu pełny statut dyplomatyczny. Wyglądanie wojsk alianckich na terytorium macierzystym Francji czyni tę sprawę aktualną i palącą tym bardziej, że poza kolidowaniem z niemieckimi i potępianym przez naród francuski rządem Vichy nie istnieje żaden zespół polityków francuskich, który mógłby pretendować do władzy we Francji.

Kingsbury Smith, któremu zawdzięczamy już wiele cennych informacji o polityce amerykańskiej, zamieścił w majowym zeszycie „Readers Digest” artykuł broniący — tak silnie atakowanej dziś w USA — polityki Cordella Halla. Uszëp dotyczący stosunku Stanów Zjednoczonych (a także W. Brytanii) do komitetu oraz osoby gen. de Gaulle wiąże się bezpośrednio ze sprawami, które gen. de Gaulle ma omawiać w Waszyngtonie, dlatego też cytujemy z niego najważniejsze zdania:

Kingsbury Smith przypomina, że latem 1943 r. — po powrocie Churchilla z Waszyngtonu — wydany został w Londynie komunikat, w którym wyłożono warunki postępowania rządu brytyjskiego wobec komitetu algerijskiego. Gen. de Gaulle, że cechuje tym „oskarżenie do dyktatora, że usiłował wykonać Wielką Brytanię przeciwko Stanom Zjednoczonym, że gdziekolwiek się zjawiał pozostawiał posmak anglofilii (wstrętu do Anglików), że stwarzał Anglikom trudności w Syrii i w ogóle próbował zmocnić nacjonalizm francuski kosztem dobrej woli wobec aliantów. Prasa brytyjska otrzymała wskazówki, by nie ułatwiać Francji walczącej podminowywania stosunków między Wielką Brytanią a Stanami Zjednoczonymi. W rezultacie, gen. de Gaulle stopniowo stał się coraz bardziej chętnym do współpracy, a stosunki z nim ostatnio znacznie się poprawiły.”

Department Stanu (m.s.z. USA) jest — jak zapewnia Smith — w posiadaniu dowodów, że gen. de Gaulle stosował metody dyktatorskie. „Department Stanu powstrzymał się od publikowania tych dowodów. Wbrew propagandzie, która twierdzi co przeciwne, Waszyngton nie zamierza pozbawiać się gen. de Gaulle, którego nazwisko jest we Francji symbolem oporu przeciwko Niemcom. Jeżeli naród francuski po prostu uczyni z niego swego wodza po wojnie — jego to sprawa. Lecz Department Stanu chce uniknąć wrażenia, że usiłuje narzucić Francuzom gen. de Gaulle lub kogokolwiek innego. Pragnie on, by naród francuski sam dokonał swobodnie wyboru.”

Jan Masaryk podpisuje in blanco

Pakt czesko-sowiecki wywołał w całym świecie wielkie wrażenie. Polacy nie byli tym krokiem polityki czechosłowackiej szczególnie zaskoczeni, gdyż nieraz już odczuwali na sobie skutki tendencji, które się w nim przejawiają. Tym pilnie powinniśmy zapoznać się z motywami, jakich inni dopatrują się w nowym zwrocie polityki czechosłowackiej.

Londyński „The Economist” poświęcił tej sprawie dłuższy artykuł zatytułowany „Czy Czechosłowacja zwraca się ku Wschodowi?” Pismo przypomina, iż „narod czechosłowacki spotykał się ostatnio ze strony miarodajnych czynników sowieckich z otwarcie wypowiedianym zarzutem, że opór jego przeciwko nazistom jest słabszy niż opór innych narodów”. Przyczyn tej niewątpliwie bierności dopatruje się tygodnik londyński w żywym jeszcze wspomnieniu dni monarchicheskich. „Naród, który reszta Europy zdradziła, gdy w grze było jego własne istnienie, pozostał mnie lub więcej obojętnym, gdy reszta Europy poczęła rozpaczać szarpać swoje łajdany”.

„Tragedia monarchichesk — pisze dalej „The Economist” — odwróciła spojrzenie Czechosłowacji od Zachodu i skierowała je na Wschód... Lecz w ostatniej instancji polityka Benesa opiera się nietylko na wspomnieniach historycznych, co na nowych faktach, które zaszły we wschodniej i środkowej Europie. Fakt, że Europa wschodnia staje się rosyjską strefą wpływu, został niewątpliwie zaakceptowany przez emigrację, jedynie przywódcy czechosłowackich. Pytanie wszakże, jaką rolę Czechosłowacja może odegrać w tej strefie,

pozostaje pytaniem otwartym. Trudności sytuacji polega na tym, że mimo ostalecznego zwrócenia się ku Wschodowi, Czech pozostają nadal w istocie swym najbardziej zachodnim narodem wśród Słowian, a w nieco dalszej perspektywie nie chcą zapewne zrywać więzów łączących ich z Europą zachodnią. Najbardziej żywotną kwestią zarówno dla przyszłości Czechosłowacji, jak i dla przyszłości wszystkich jej sąsiadów, jest, jakie metody zastosuje Rosja przy wywieraniu swego wpływu w tej przelazłej strefie sowieckiej. Czesi pokładają wszystkie swe nadzieje w rosyjskiej polityce dobrego sąsiedztwa. Witać ją z zadowoleniem przeważa gospodarczą, polityczną i militarną Rosji w Europie wschodniej i środkowej. Czesi chyba nie widzą jej pod postacią wyłącznej hegemonii”.

W tym samym czasie zajął się tą sprawą także amerykański „Time”. Artykuł nosi znamienity tytuł „Sztuka przetworzenia”. Stwierdziwszy, że „wojna przerwana w ostatnim tygodniu (pisane w końcu marca br.) do punktu, z którego wyszła” i przypomniawszy, że rząd czechosłowacki w Londynie wezwał naród swój do powstania, „Time” pisze: „Wezwania przyszło z Londynu, ale „armia wyzwolenia” przyszła z Rosji sowieckiej”. Można było mieć trochę wątpliwości, czy wojska sowieckiego marszałka Jerzego Żukowa okazały się niedowładnie armią wyzwolenia. Lecz na całej drodze od Londynu do Rosji — poprzez cały ogrom ludzkich cierpień i tortur wypełniający dziś Europę — nikt nie ma wątpliwości, że doświadczenie, jakie będzie miała Czechosłowacja ze swoim wyzwoleniem, da odpowiedź na fundamentalne pytanie: czym jest zwycięstwo? Czesi myślą, że znają tę odpowiedź. Przetworza — to ich obsesja, w umiejętności przetworzenia tkwi też największy ich talent. Będąc jednym z mniejszych narodów europejskich, nigdy nie wytworzyli spójnej wielkości i zawsze zdawali sobie sprawę, że rola ich polega raczej na reagowaniu niż na działaniu, na przystosowaniu się do warunków, a nie na stwarzaniu ich — i na przetwarzaniu. Inaczej niż ich najbliżsi sąsiedzi Polacy, Czesi nigdy nie uważali, że mają więcej, niż jednego głównego wroga jednocześnie, nigdy nie marzyli o ginięciu w romantycznej głorii. Dzieje narodu czeskiego, to nieustannie zapiekane sprzymierzenie. Dla nich polityka zagraniczna nie jest dodatkami, ale sednem polityki narodowej”.

Rozczarowanie Czechów polityką monarchicheską doprowadziło do tego, że „zato, co w lutym 1939 uczyniono jego krajowi, Benes ukuł dla demokracji zachodnich dosadne określenie k a d e n c j a”. „Time” przypomina, że po podziale Czechosłowacji Rosja uznała oficjalnie „niezależną” Słowację. „Lecz w tym momencie „dekadenckie” demokracje poczęły budzić się z objędu pacyfistycznego i z koszarowym oportunizmem. Ich zachęcała technologia w czechosłowacki rząd emigracyjny”. Zawarty w grudniu ub. r. pakt sowiecko-czeski „oznaczał dla Czechów gwarancję przedmonarchicheskich granic, a dla Moskwy zgodę Czechosłowaków na politykę rosyjską w Europie. W lutym Churchill rzucił sugestię — otwarcięj niż Czesi w jakimkolwiek oświadczeniu — że wschodnia i środkowa Europa mogłaby być uznana za legalną strefę rosyjskiego przywództwa. Wobec takiej postawy Anglików — wobec zapowiedzi braku jakiegokolwiek postawy Amerykanów — rząd czeski na wygnaniu popierał jednorodnie pakt sowiecko-czeski pośpieszają pełną Czechosłowację w ślady czerwonej armii i dwóch związanych z nią brygad czechosłowackich...”

„Czesi potrafią przebiegać przez życie bez społecznego bezpieczeństwa (tj. bez zabezpieczenia indywidualnej egzystencji), ale upierają się przy bezpieczeństwie narodowym. Przyjmą je, skądkolwiek przyjdzie. Może ono przyjść z Rosji. W grudniu Jan Masaryk (min. spr. zagr. w rządzie Benesa) oświadczył w Nowym Yorku: „Chcemy żyć swoim własnym życiem na swój własny sposób, a wiemy, że Rosja uszanuje nasz sposób życia”. I dodał: „Rosja walczy z nami, by zniszczyć raz na zawsze niemiecki *Drang nach Osten*, wiemy zaś, że bez Rosji nie zostanie on powstrzymany”.

„Czesi woleliby, aby ich bezpieczeństwo przysiężo zarówno ze Wschodu, jak i z Zachodu — z Moskwy i z Waszyngtonu. Kiedy jedna z wysoko postawionych osobistości politycznych zapytała go z wyrazem zatroskania o pakt czesko-sowiecki, Jan Masaryk wyraził gotowość umieszczenia swego podpisu na czystym arkuszu papieru — jeżeli Roosevelt byłby gotów nad

tym podpisem umieścić jakikolwiek fraktat. Wiedział oczywiście, że prezydent Stanów Zjednoczonych nie ma na to pełnomocnictw. Lecz zna on także upiorny łęk swego narodu i całego kontynentu europejskiego, że Stany Zjednoczone mogłyby po wojnie wycofać się z Europy, powstrzymać się od zaciągnięcia jakiegokolwiek zobowiązań w sprawie bezpieczeństwa Europy, a wreszcie pociągnąć za sobą Wielką Brytanię. Europa stałaby wtedy tylko wobec jednego przewodnika — Rosji”. „Time” kończy swój artykuł słowami: „Zapytany o swój program powojenny Jan Masaryk udzielił miłośnikom przebiegłości najdowcipniejszego oświadczenia dyplomatycznego naszych czasów, gdy odpowiedział: „Chcę wrócić do domu”.

Moskiewska „Kontr-rewolucja”

Jeszcze niedawno laburzyści (socialiści) angielscy byli przekonani, że wejsze Rosji do koalicji antyniemieckiej jest nie tylko pożądaną pomocą w walce z hitlerowskim imperializmem, ale także wielkim krokiem naprzód ku rewolucji światowej. Wypłynął laburzysta Lasky napisał na ten temat całą książkę, w której radził Anglikom przeprowadzić u siebie „rewolucję obrotową” (revolution by consent), zanim dojdzie do krwawego przewrotu komunistycznego. Dla Lasky'ego jeszcze na wiosnę ub. r. Rosja była „matką rewolucji”, a politycy, którzy przeciwstawiali jej polityce — działali na rzecz „reakcji” i byli narzędziami „kontr-rewolucji”.

Rok 1944 przyniósł wielki przełom w stosunku socjalistów angielskich do Sowietów. Sprawiało to sama Moskwa. Nie idą oni by może tak daleko, jak socjaliści amerykańscy, których opinię streścił znakomicie Travers Clement (w lewicowym tygodniku amerykańskim *The Nation*), gdy w odpowiedzi na zapytanie Lasky'ego, jaki jest stosunek lewego odłamu socjalistów amerykańskich do planu odbudowy jednej międzynarodowej socjalistycznej, oświadczył, że „Rosja Stalina jest dziś naturalnym sprzymierzeńcem wszystkich sił, które pragną utrzymać status quo i najpotężniejszą siłą anty-rewolucyjną we współczesnym świecie... P. Lasky może powiedzieć, że idealizm naszej polityki nie ma nic wspólnego z komunizmem — nie mamy żadnych spórów z behaterskimi narodami Związku sowieckiego. Tak jest niewątpliwie. Lecz niestety, zorganizowana jednose z narodami żyjącymi w państwie politycznym nie może dokonać się ponad głośniei rządzących tym państwem. Możliwe to byłoby tylko, gdyby w Rosji istniał prawdziwy ruch robotniczy, gdyby był tam opozycyjne partie klasy robotniczej. Jeżeli — jak sądzi P. Lasky — Związek sowiecki istotnie jest „główną pomocą, od której zależy przyszłość klasy robotniczej”, to nich Bóg ma w swej opiece klasę robotniczą!”

Tak daleko socjaliści angielscy — do niedawna wybitnie sovietofiliscy — jeszcze się nie posuwają, ale wszystko wskazuje na to, że to do tego dojda. Pakt Stalin-Badoglio popchnął ich na tej drodze o wielki krok naprzód. Londyński tygodnik lewego odłamu *Labour Party, Tribune*, który przez cały czas sporu polsko-sowieckiego nie znajdował dosłownie potępienia dla naszego „niezrozumiałego oporu” i naszej „reakcyjnej zawziętości” — stwierdza, że po zawarciu tego paktu robotnicy wstępy, którzy „w swojej walce o wolność... nie mogą się pochłubić zbyt uśmiłą pomocą demokracji brytyjskiej i amerykańskiej... nie mogą także — to jest już obecnie jasne — liczyć na pomoc dyplomatyczną Sowietów. Komisarz Spraw Zagranicznych niedowładnie opowiedział się za a nie przeciw *Wall Street* i *City* (dwa wielkie centra światowe „monopolistycznego kapitalizmu” — przyp. red.), powiedział się on po stronie *Wall Street*. Czy przeciwko dążeniom narodu włoskiego. Na tym polega rzeczywiste znaczenie wymiany przedstawicieli dyplomatycznych między Kremlem a królem Wiktoorem Emanuelem...”

Pismo przypomina, że już Lenin uprawiał taką politykę „realizmu”, jakiej dowody składa obecnie Stalin, bo to przeciw Lenin pierwszy uznał... Mussoliniego Socjaliści brytyjscy „z dumą i najgorzej sympatyczną patzą na Rewolucyjną Rosję”. Lecz obecnie sądzi, że rząd musi ostrzeżość świat pracy przed bezpodstawnymi złudzeniami”. Pewien tryd (konserwatywa), chełpił się niedgdy, że wiatry rosyjskiej dyplomacji dął nie w postępowe i socjalistyczne żagle, ale w żagle konserwatywne. Ten tryd mógł mimo wszystko mieć rację. Wniosek, jaki się wdycząmy, brzmi, że świat pracy w Europie i w Anglii musi strzec pełnej niezależności swojej polityki. Dla wygrania naszej walki musimy ogłądając się na swoje własne siły i własne zasady. Nie powinniśmy ugiąć się przed realizmem”.

Michajłowicz Dalekiego Wschodu?

Lewicowy tygodnik amerykański *The New Republic* omawia rozbieżość, jakie zachodzą rzekomo między planami wojennymi brytyjskimi i amerykańskimi na Dalekim Wschodzie. Amerykanie i Chińczycy uważają, że konieczne jest przede wszystkim udzielenie w Birnie oraz jak największej otwarcie jedynej drogi zaopatrzania Chin tj. drogi birmeńskiej; Anglię natomiast są raczej za „ograniczoną ofensywą” w Birnie kładąc główny nacisk na odzyskanie portu pływaj malajskiego i Singapora. Poczem czytamy: „Według nie potwierdzonych wiadomości, na konferencji w Kairze Roosevelt i Churchill oświadczyli gen. Cziang-Kai-Szek, że droga birmeńska nie będzie otwarta ani Chiny nie będą wzmożone militarnie do pomocy rząd czuknicki nie dojdzie do porozumienia z chińskimi komunistami”.

„Rząd centralny (w Czungkingu) wydaje się obecnie (pisane w marcu br.) być bardziej zajęty walką z chińskimi komunistami niż walką z Japończykami. Poczem gdy wojna z Japonią znalazła się praktycznie na martwym punkcie, tysiące najlepszych żołnierzy czuknickich stają bezczynnie na granicy północno-zachodniej części Chin, gdzie komuniści kontrolują region obejmujący ok. 50 milionów ludności”. Informatorzy tygodnika amerykańskiego sądzi, że komuniści chińscy działają obecnie intensywnie przeciwko Japończykom, niż Czungkingu.

„To jest nieszczypliwa sytuacja — pisze *The New Republic* — a polityka amerykańska, niestety, jeszcze ją pogarsza. Prawdopodobnie rząd nasz czuje się zobowiązany do współdziałania jedynie z uznawanym przez chińskich, chociaż jest rzeczą mało prawdopodobną, aby istniejące zaangażowania w obejmującym całym polityce antagonizmu przeciwko domniemanym planom powojennym Rosji sowieckiej; w każdym razie pomoc naszą otrzymuje wyłącznie Czungking”. Tymczasem, wielu najlepszych Chińczyków czuje, że obecny rząd bynajmniej nie jest uprawnionym spadkobiercą dr Sun-Yat-sena”. Pismo przypomina, jak postąpiono w Jugosławii, gdy okazało się, że Tito oddaje sprawę pokonania Niemiec większe usługi niż Michajłowicz i sądzi, że „chińscy komuniści... nie są pod wpływami Moskwy, chyba tylko wtedy, gdy ich życzenia zgodne są z życzeniami Rosji. Głównym celem chińskich komunistów jest skłócenie z wielką własnością ziemią i wzmocnienie oporu uprzemysłowienia”.

„Tymczasem, w Birnie nie wypowiada się za porzuceniem Cziang-Kai-Szeka przez Anglosasów, ale uważa, że zwycięstwo nad Japonią winno być przypiszone i że w tym celu należy ubroić chińskich komunistów. Jeżeli Cziang-Kai-Szek uważa się, że to dopomóże im do objęcia władzy w Chinach — należą mu odpowiedzieć, że „Jeżeli Chiny mają zerwać z systemem monarchijnym — jak to święcie obiecywał Cziang-Kai-Szek — nie ma powodu, dla czego komuniści nie mieliby stać się partią Lewicy, reprezentowaną w rządzie koalicyjnym, jak to było przed wojną w różnych krajach europejskich. Chińscy komuniści stanowią groźbę jedynie dla kraju, rządzonego totalitarnie, gdzie gros ludności żyje w pańszczyźnie i nędzy. W miarę jak Chiny będą stawały się coraz bardziej demokratyczne, konflikt między komunistami a Czungkingiem zgasnie”.

Interesujące są konkluzje amerykańskiego tygodnika: „Jest rzecz jasna, że wojna ta nie może stać się w pełnym tego słowa znaczeniu wojną o wprowadzenie demokracji wszędzie na świecie i odrzu. Naszym głównym zadaniem jest pokonanie „os” dla osiągnięcia tego celu musimy korzystać z pomocy aliantów, którzy mniej lub więcej sympatyzują z zasadami demokracji. W Ameryce laickiej opinia nas pewna ilość dosyć ciemnych charakterów. Gwara Winstona Churchilla w Anglii jest otwarcie imperialistyczna; Rosja sowiecka ma demokrację gospodarczą, ale nie ma politycznej demokracji. Lecz to wszystko nie znaczy, że nie powinniśmy walczyć o demokrację, gdy mamy po temu okazję. Jeżeli Wielka Brytania Japonia odbudować swoje imperium z a n i m Japonia zostanie pokonana — powinniśmy oprzeć się takiej polityce. Jeżeli Cziang-Kai-Szek używa naszej pomocy dla wzmożenia czynności reakcyjnych kosztem wojny — powinniśmy zastosować nacisk z drugiej strony. Nie możemy mówić, że wierzymy w swój własny system a równocześnie — skoro tylko mamy wybór — odwracać się od niego wszędzie na świecie”.

Czytelnik z łatwością wyrobi sobie zdanie o moralnej wartości tych sugestii, gdy przypomnia sobie, że w Stanach Zjednoczonych prawie wcale nie ma komunistów, skutkiem czego liberaltawa amerykańska mogą operować swobodnie dosyć hurtowo w m „pojęciem „demokracji”.

(m. r.)